Nr. 38. Poznań, niedziela 20-go września 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: ul. Wihelmowska 28. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen
Rękopisów drobnych niezwracamy.

TREŚĆ.

Czas odnowić przedpłatę!

Przedpłata kwartalna wynosi:
Na wszystkich pocztach cesarstwa niemieckiego i Austryi
5 mr. (3 złr.)
W mieście Poznaniu, w ekspedycyi naszej wraz z odnoszeniem do domu
4 mr.
We wszystkich innych krajach z przesyłką opaskową
5,50 mr.
„Przegląd Pozn.“ zapisany jest w księgach pocztowych Niemiec Austryi pod lit. II. t. 90a.

Od Redakcyi.

Zamieszczając na czele dzisiajszego numeru przyjętym zwyczajem zaproszenie do przedpłaty, zwracamy się znowu do czytelników naszych z serdeczną prośbą, by w kołach znajomych i przyjaciół swoich pismo nasze rozszerzać raczyli. Warunki egzystencyi organu postępowego na poznańskim gruncie są tak uciążliwe, że »Przegląd Poznański« musiał z konieczności opierać się dotychczas na ofiarności akcyonaryuszów swoich. Staramy się jednak usilnie o to, by ten jedyny organ demokratycznej inteligencyi stanąć mógł jaknajprędzej o własnych siłach i przy nieco goręţszem poparciu ze strony czytelników niezawodnie cel nasz osiągniemy.

Obecnie postanowiliśmy, dla obniżenia kosztów drogiego przedsiębiorstwa, ograniczyć nieco ilość materyału podawanego w «Przeglądzie«, — uszczerbek ten jednak wyrównamy czytelnikom naszym przez najstaranniejszy dobór artykułów.

Udoskonalenie treści, spotęgowana barwność i aktualność politycznej i literackiej części, — oto zadanie, które redakcya w nowym kwartale przeprowadzić zamierza. Sezon zimowy nastręczy nam niejedną sposobność do wykazania, jak ważnym posterunkiem w stosunkach naszych jest »Przegląd Poznański«, a zapominać przedewszystkiem nie wolno, że programowe zadanie zszeregowania całej inteligencyi demokratycznej w poważne stronnictwo jest dotychczas zaledwie rozpoczętem dziełem. Dwa i pół roku prowadziliśmy pracę przygotowawczą, urabiając opinię publiczną, zaszczepiając idee nasze w jednych, umacniając je w drugich, — dziś nadeszła chwila, by przystąpić nareszcie do pracy organizacyjnej. To też przekonani jesteśmy, że czytelnicy nasi z tem większą energią popierać będą w nowym kwartale rozwój pisma naszego, które jest jednym z najgłówniejszych filarów całego ruchu. Nie dość abonować »Przegled Poznański«, lecz iść z nim należy od domu do domu i coraz nowych pod wspólnym sztandarem gromadzić szermierzy. Moment jest krytyczny, czeka nas ciężka praca i zacięta walka, — prosimy o pomoc, prosimy o agitacyę.

Ciekawy interwiew.

(Dokończenie).

— Pan hrabia, zdaje się, lekceważy ustrój konstytucyjny Europy?

— Więcej nawet szanowny panie, bo mam go za formę wyrafinowanego despotyzmu, więc gardzę nim. Wolę mieć przed sobą kułak, niż obłudę. A czy mnie wilk zje od razu, czy zadusiwszy będzie żuł pomaluśku, przyznam się, jest to dla mnie wszystko jedno.

— Czy i dla Francyi pan hrabia równie surowy jak dla Austryi!

— O jakiej Francyi pan myślisz, — o tej, która była, czy o tej, która teraz jest?

— O Francyi współczesnej...

Hrabia pogładził całą garścią brodę i utkwił we mnie siwe swoje, świdrujące oczy, potem nagle wyciągnął rękę w powietrze, palce rozszerzył jak pazury i tak ją chwilkę trzymał.

— Widzi pan? — pytał otwartą pięść pokazując.

Skinąłem lekko głową Hrabia ciągnął dalej:

— Dawna Francya była czemś, a teraźniejsza jest....

Nagle palce ściągnął i zamknął *tak*, że tylko silna muskularna pięść w *powietrzu* wisiała. Jakby na wytłómaczenie *giestu* dodał:

— W garści Rosyi. Francya jest tak posłuszną Rosyi jak dziecko prowadzone przez niańkę, która mu mówi: idź tam, nie idź tam. Ona wie, że ma Prusaków na karku, ale, żeby obronić się od wilka, woła do pomocy niedźwiedzia.

Wargi jego uśmiechnęły się złośliwie.

— To tak zupełnie, jak ciele napadnięte przez wilka, udaje się do niedźwiedzia na sąd i radę.

Pochyliwszy głowę mruczał powoli:

— Dla czegoż nie pomódz? Można... można... Ale oni będą mieli z Rosyi tyle pociechy, co Rosya z Patagonii.

— Dla czego!

— Bardzo naturalnie, bo ktoś trzeci może nam popsuć najlepsze projekty. Niech pan sobie wyobrazi tylko taką sytuacyę: wilk rzuca się na ciele, niedźwiedź na wilka, a tymczasem ktoś trzeci wypuszcza na niedźwiedzia niespodzianie psy gończe, które go z tyłu szarpią za kudły i wołają: stój Misiu! Naco daleko szukać i my mamy u siebie w domu dwa takie ogary: jeden nazywa się Polska a drugi Ruś. Teraz one drzemią, pomrukują tylko, patrząc na wiszącą nad nimi nahajkę, ale lada chwila zerwać się mogą i niedźwiedzia mocno poturbować.

— A zatem przymierze Francyi z Rosyą możebne tylko nominalnie?

— Oczywiście.

— Proszę pana — przecież my u siebie w domu mamy piękną zabawkę z Polską, która teraz Ruś jeszcze ze sobą ciągnie; po co nam spraw francuskich pilnować! Czy granice ich ciągną do dawnej Batawii i Renu czy też się ograniczą do departamentu niższej Sekwany — to dla nas absolutnie wszystko jedno. Niech sobie Francya swoich interesów państwowych pilnuje, a my — swoich.

— Ale podobno, — wtrąciłem — sojusz z Francyą ratyfikowany.

— O, to zupełnie inna sprawa! To co ja panu powiedziałem — to życie, a ratyfikacya — to polityka! Głupie traktaty są niemożebne do spełnienia. Dawniej przynajmniej zaprzysięgano je, bo w potęgę przysięgi wierzono, dziś słowo wystarczy. Łatwo się daje i łatwo się łamie. Słowo do niczego nie zobowiązuje; silną jest jedynie konieczność.

— Zatem pan hrabia niewierzy ani w trwałość ani w przyszłość przymierza franko-rosyjskiego?

— Ja wątpię czy istnieje kto na świecie, coby w to wierzył na seryo. Mniejsza o to, że nasze drogi polityczne rozchodzą się, ale rozchodzą się nasze podstawy państwowe, nasze systemy rządowe — więcej nawet, bo nasze myśli, uczucia, cywilizacya. Przyjaźn nasza o tyle trwać może długo, o ile pijemy wspólnie szampana. To też jest ona tak nowożytną, jak szampan i zapewne tak krótkotrwałą będzie, jak odurzenie przez szampan sprawione. Przez cały ciąg dziejowego życia niezrzeszliśmy się ani razu, bo moc nas nie ciągnęła ku sobie, teraz koziołki adwokackie francuskich prezydentów umyśliły zrobić z Rosyi straszaka na Prusy.

— Trzeba przyznać, że się im to w części udało.

— Ani trochę. Jesteśmy tak samo oddaleni od siebie, jak dawniej. Francuzi śmieją się w „kułak,“ śpiewając „Boże caria chrani,“ a prawdziwy moskal, wychowany pod knutem carskim, odśpiewawszy Marsyliankę spluwa i powiada: „czto za durackaja piesnia!“

Hrabia zamyślił się chwilkę.

— Widziałeś pan zapewne nieraz, jak ludzie zwiedzający ogród zoologiczny karmili przysmakami niedźwiedzia. Patrząc zdaleka zdawałoby się, że oni są w najlepszej zażyłości. Sprobuj pan jednak wypuścić niedźwiedzia z klatki — i kwita z przyjaźnią. Niedźwiedzia i ludzi łączą przysmaki, a nas pochlestwa złączyły. To bardzo kruchy węzeł.

— A przecież zręczni adwokaci mogą go wzmocnić!

— Tylko mi pan o adwokatach nic nie mów! To klasa ludzi, oprócz do pieniactwa, niezdatna do niczego więcej. Oni Francyą gubią i zgubią, bo interesa państwowe traktują tak, jak sprawy rozwodowe lub kryminalne, gdzie kazuistyka i fałszywi świadkowie zwyciężają często prawdę. Im brak nietylko równowagi umysłowej ale także czystości moralnej — jakże tacy ludzie krajem rządzić mogą? Oni z charakteru swego powołania muszą albo trawić kogoś gwałtownie, albo gwałtownie napadać na kogoś. Tę samą metodę stosują i w polityce. Oni to stworzyli ten dziwoląg, który franko rosyjskiem przymierzem nazwali.

— Oczywiście według mniemania hrabiego taki dziwoląg nie ma w sobie zarodków życia.

Tak jest. Ja w ogóle utrzymuję, że teraźniejsze życie Europy jest anemiczne. Rozmaici lekarze stosują do niej środki sztuczne — jedni świeże powietrze, inni inhalacyę, inni znowu oddychanie stlenionem powietrzem. Zapewne, to podtrzymuje życie, ale już one nie wiele warte. Tam nie ma energii, trzeba liczyć puls i godziny.

— Przecież chory może wyzdrowieć!

— Widzi pan: jeżeli człowiekowi odejmą rękę albo nogę, on może żyć sto lat, ale jeżeli mu za każdym kaszlem wylatują kawałki płuc, to życie rachujemy wtedy na dnie i miesiące. Narody mają także swoją starość, a starość — to brak energii fizycznej i umysłowej. Nie jest to brednią bynajmniej, ale prawem natury. Z tej też racyi rasa łacińska jest w upadku. Stary naród możnaby porównać do starego drzewa: jest ono wielkie, okazałe, cieniste, rodzi dobre owoce, ale praktyczny sadownik dostrzeże łatwo, że rdzeń jego toczy robak, albo że brak mu pożywienia. Jest na to rada: sztuczne dostarczanie pożywienia, obcinanie gałęzi starych i wytworzenie nowych urodzajnych. Ale to wszystko nie usuwa starości i następstw z niej płynących. To samo dzieje się ze starszymi narodami i państwami: trzeba je sztucznie odżywiać i sztucznie płodność ich zwiększać. Stare gałęzie cywilizacyjne na łacińskiem drzewie muszą uschnąć — im prędzej je ogrodnik usunie, tem lepiej. Dawniej rodziły górne gałązki, teraz dolne rodzić muszą. Muszą wystąpić na widownię dziejową nowe warstwy — ludowe — świeże, silne, — do nich należy przyszłość. One teraz dopiero wybijają się do słońca, o prawa swoje walczą.

Hrabia był widocznie opanowany chęcią wypowiedzenia wszystkiego, co myśli. Nieprzerywałem mu.

— Teraz szanowny panie, w Europie są tylko dwa światy dziejowe: słowiański i germański. Słowiański reprezentuje Rosya, germański — Niemcy. Tu idzie walka o pierwszeństwo. Dziś jest już rzeczą widoczną, kto zwycięży.

Hrabia Tołstoj zamilkł, jakby umyślnie czekał na zapytanie. Z całego toku rozmowy domyśláłem się odpowiedzi.

— Kto? — jeżeli wolno zapytać!

— Rosya. Powiedziałem panu, że ona jedna prowadzi dziś politykę świadomą celu, jedna z pośród państw europejskich posiada energię i siłę barbarzyńcy, zuchwałego i stawiającego na szali życie albo śmierć! Zwyciężywszy — zapanuje nad światem, zwyciężony cofnie się jak niedźwiedź do pieczary i tam znowu przez tysiąc lat będzie ssać własną łapę.

— Ja nie widzę — rzekłem — teraz żadnych czynów politycznych Rosyi, któreby to zwycięstwo przepowiadały.

Hrabia ironicznie uśmiechnął się.

— Pan myślisz zapewne o wielkich zwycięstwach, jak wzięcie Oczakowa, podział Polski bez boju, Borodina, wjazd do Paryża, kongres wiedeński.

Ów ton ironiczny zmięszał mię trochę.

Zaczątki powstania 1863 roku

na Podlasiu i na Litwie.

(Ze wspomnień b. naczelnika oddziału.)

(Ciąg dalszy).

X.

W Janowie byłem znowu dni kilka, ucząc żołnierzy i szyjąc mundury dla strzelców. Kawalerya moja zwiększyła się z gorą o sto koni. Żołnierz to był wcale nie zły. Miałem czterdziestu masztalerzy ze stajni Janowskiej, którzy doskonałymi byli jeźdźcami; dalej z furmanów i młodzieży dobry oddzialik się sformował, a i Radowicki był to bardzo odważny, dający wszystkim dobry przykład jeździec. W Janowie odebrałem wiadomość o bitwie, choć nie wygranej, lecz bohaterskiej, stoczonej pod Węgrowem pod wodzą Wład. Jabłonowskiego, (przypisują ją mylnie Jankowi Sokołowi (Matlińskiemu), który choć był uczestnikiem owej bitwy, lecz dowódzcą w niej nie był.) Dowiedziałem się również, że po bitwie Węgrowskiej oddział przerzucił się za Bug, ku Drohiczynowi i że za Bugiem zbierają się znaczne oddziały.

Ponieważ miałem rozporządzenie komitetu centralnego, by w razie nie utrzymania się na linii Warszawsko-Brzeskiej przejść za Bug i tam rozniecić powstanie, postanowiłem przeprawić się za Bug.

Zbieram więc oddział, zabieram srebro z Janowa, wartości kilku tysięcy rubli, i w chwili gdy obóz nasz wyszedł z miasta ku Niemirowu, dowiedziałem się od podjazdu wysłanego do Biały, że gen. Nostitz dąży w kierunku Janowa. Cofając się ku Bugowi byliśmy każdej chwili gotowi do bitwy. Do Niemirowa było 7 wiorst. Wojska Nostitza przeszły Janów i podążyły za nami. Kozacy mieli za zadanie utrudnić nam pochód. Gen. Nostitz chciał widocznie spotkać się z nami na polu i tam stoczyć bitwę, ja zaś dążyłem ku Bugowi. Odstrzeliwając się kozakom, doszliśmy do Niemirowa. Jestto wieś rozłożona po obu stronach Bugu, znana jako punkt graniczny trzech państw rozbiorowych. Brzeg Bugu dosyć stromy, zarosły łoziną, -- przed wsią kilka wzgórz. Na brzegu był jeden prom. Obóz zaczął się przeprawiać, a że miałem sto wozów, bo kos wiozłem 2000 sztuk, więc przeprawa odbywała się wolno. Pozostawiłem zatem oddział frontem do przeciwnika, przed wsią, na lewem skrzydle na wzgórzu stanęła kawalerya Radowickiego, środek zajęli strzelcy z Wolaninem; na prawem skrzydle — część strzelców z Szaniowskim, po za nimi kosynierzy z Golianem.

W tym porządku cofaliśmy się eszelonami ku Bugowi. Kozacy zaczęli natarczywie atakować strzelców, by gen. Nostitz mógł nadciągnąć z piechotą i artyleryą. Posyłam rozkaz Radowickiemu, by rozpędził kozaków. Ten wyciąga kolumnę szóstkami i rusza z kopyta na kozaków. Atak był dzielny, lecz i kozacy nie stchórzyli. Essauła ich rozwinął szereg jak zwykle w półksiężyc tatarski. Chciał widocznie naszych otoczyć, lecz gdy się zbiegli do siebie, wyszło to, co tylko może się zdarzać w oddziałach powstańczych, a nie z żołnierzami wyćwiczonymi, — stanęli jak wkopani w ziemię i tylko pył ich otoczył od kopyt końskich, zarytych w ziemię. Wtedy Szaniowski wyskoczył naprzód ku nieprzyjacielowi i w drodze wystrzelił z pistoletu ku kozakom. Był to sygnał zaczepny. Nasi uderzyli i bitwa trwała nie więcej nad minut dwadzieścia. Przewaga była po stronie naszych jeźdźców, gdyż mieli konie rosłe, a gdy który uderzył o konia kozackiego, ten padał a kozak z nim. Trzydzieści trzy konie pozostało w rękach naszych, kilkunastu rannych kozaków legło na placu. Essauła zabił jeden z masztalerzy, choć sam był przez niego szablą, a przez innego kozaka lancą raniony. Naszych było także kilku rannych, żaden jednakże nie zginął. Do utarczki na bagnety nie przyszło, — strzałami nas tylko z oddala prażyli przeciwnicy. Przeprawiwszy obóz za Bug, przeprawialiśmy się kolejno i sami. Kawalerya przeszła wpław obsypywana granatami. Gdy ostatni pluton

Wydało mi się, że słyszę pomruk niedźwiedzia.

— O, zapewne... — zauważyłem wykręcając się, — to są wielkie wypadki...

Hrabia wrócił do równowagi.

— Ja panu zaraz wytłomaczę jakie zwycięstwa Rosya odniosła teraz.

Nastała chwila milczenia. Słońce paliło. Słychać było regularne uderzenia cepów. W powietrzu drgały w promieniach słonecznych atomy pyłu, unoszącego się z pod młóconego żyta.

Ze skupioną uwagą hrabia ciągnął dalej:

— Zacznę od Niemców. Niemcy są dwukrotnie skrępowane przez Rosyę: przymierzem z Francyą i Polską. Ja osobiście w trwałość i powagę przymierza nie wierzę, ale tam gdzie jest możność zawołania kogoś na pomoc, napadnięty nie wie, czy ów ktoś przyjdzie lub nie z pomocą. Sama niepewność jest hamulcem. Z Polską jeszcze trudniejsza sprawa. Państwa polskiego niby nie ma, ale ono zawsze w rachubach politycznych występuje. Polska w Prusach to pięść słowiańska w górę podniesiona, — ona krępuje i grozi. Chodzi tylko o to, by pięścią dobrze kierować, by ją do jednolitych działań Słowiańszczyzny zaprawić.

— Zważ pan tylko, że Prusy to jeden wielki cmentarz słowiański, — a na tym cmentarzu pobudowali się i żyją resztki Słowian i zniemczeni Słowianie, którzy kiedyś mogą zrzucić skorupę niemiecką.

Uśmiechnąłem się.

— Pan hrabia prędko załatwił się z Prusami.

— Nie twierdzę, że się tak stanie, ale tak stać się może. Samo prawdopodobieństwo już na szali waży. Rosya widmem pogrzebanej słowiańszczyzny straszy Prusy i trzyma je w zależności.

— Cóżby powiedziała na to Austrya?

— Pod Austryą mina podłożona. Rosya czeka tylko kiedy ona w powietrze wyleci.

— A toż jakim sposobem?

— Rosya nie tylko dokoła Austryi rozrzuciła sieci, ale we wnętrzu tego państwa wypielęgnowała sobie przyjaciół — takich przyjaciół, jacy się zwykle za pieniądze kupują. W polityce tacy najlepsi, bo bezwzględni. W Czechach młodoczesi z Gregrami i Vaszatymi staną do szturmu „burgu“ w pierwszych szeregach, a w Galicyi Świętojurcy ze „Słowa“ i „Narodnego domu“, gotowi są zawsze do „borby.“ Trzymamy ich tedy w pogotowiu, ażeby w każdej chwili można było krzyknąć: hajże na szlachtę!

— A na Węgrów jak się hrabia zapatruje?

— O, to krzykliwy naród! Dopóki oni byli sami — znienawidzili Moskwę, ale od dwudziestu pięciu lat są w nauce u żydów. To dosyć czasu, ażeby spodlić każdy naród. Teraz już można było...

Hrabia zamilkł. Spojrzeliśmy po sobie. Domyślałem się co chce powiedzieć.

— Teraz już można było ofiarować szablę Rakoczego...

— Co za zręczność! — wyrwało mi się mimo woli:

Uwaga moja podobała się hrabiemu.

— To polityka, panie... W obcem państwie zapuszczamy powolnie tak swoje korzenie, jak jemioła. My tak ściśniemy tę Austryę, że ona tchnąć nie będzie mogła! Zważ pan tylko co się dzieje na tak zwanym wschodzie. Do niedawna, oprócz Czarnogóry, nie mieliśmy tam ani jednego przyjaciela — a teraz? Wszyscy u nóg naszych. Karól uspokoił się. Król Serbski rządzi tak, jak każe Rosya, a jeżeli ona będzie sobie życzyć — weźmie za żonę pierwszą lepszą wskazaną mu przez cara pokojówkę z garderoby carowej... A Ferdynand? Ach, Boże! Jemu o cały świat nie chodzi, tylko o królestwo, a to królestwo dała mu Rosya. Nic dziwnego przeto, że on pójdzie tam gdzie mu car każe. A co do jego etyki...

Hrabia rubasznie śmiać się zaczął.

— On „batinka“ i sam się każe obrzezać i swemu małemu Borysikowi sprawi obrzezanie — byle by tylko można było panować! Jeżeli potrzeba będzie — to na pierwsze skinienie Rosyi on przyjmie jeszcze mahometańską lub buddyjską wiarę, — jaką każą.... Zresztą, na to, ażeby Ferdynand nie znalazł sobie drugiego Stambułowa Rosya dała jemu Cankowa. Tak go dopilnuje!

Mimowoli wykrzyknąłem:

— Straszna obręcz, którą Rosya ścisnęła Austryę. Czyż tego mężowie, prowadzący politykę w Austryi, nie widzą?

— Widzą, — tylko nie doceniają tych faktów.

— Prawie nie do uwierzenia.

Hrabia nie oponował.

— Obręcz — jak pan nazywasz naszą politykę — ściska niezawodnie Austryę, ale sieć, rzucona przez Rosyę, sięga dalej.

— Co przez to pan hrabia rozumie?

— Czarnogórę.

— Czy podobno, ażeby takie małe państewka brać w rachubę! — zawołałem. Przecież to coś podobnego do San-Marino albo Monte-Carlo.

— Naturalnie. Tylko trzeba o tem panu wiedzieć, że polityką rosyjską kierują nie tylko ministrowie w Petersburgu, ale także i kobiety w Czarnogórze.

— Pan hrabia myśli zapewne o domniemanym związku Heleny czarnogórskiej z następcą tronu włoskiego?

Tak jest. Księżna Helena — wychowanica nasza. Nikt nie wątpi, że potrafi ona przenieść sympatye rosyjskie do Włoch. Możemy jeszcze z tej strony podkopać Austryę i Prusy.

Zuchwałość Rosyi nietylko w czynie ale i w słowach wydała mi się bezgraniczną. Jest to budowanie — pomyślałem sobie — jakiegoś nowego wału Trajana, czy muru chińskiego, którym Rosya pragnie opasać całą Europę. I nikt jej na przeszkodzie nie stanie?!

Jest ktoś i na ciebie...

— Istotnie, — rzekłem — pan hrabia ma racyę, że teraz tylko Rosya prowadzi politykę — inni drzemią w niedołęstwie. Ale — — przypuśćmy, że Rosya doprowadza politykę do ostateczności, grozi zrobieniem z Europy kilkunastu więcej, niż teraz posiada, gubernii, czy ona może być na tyle pewną spokoju wewnętrznego, że nikt jej do wykonania planu nie przeszkodzi.

— Rozumiem pana... pan myśli o Polsce...

— Nie... ale kto wie...

— Uspokój się pan... zaradziliśmy temu...

Nagle zwrócił się ku mnie.

— Czy pan myślisz, że z Włoch, nie dałyby się utworzyć dwóch państw, jednego ze

---

strzelców wsiadł na prom, ja z Wolaninem łódką przepłynęliśmy rzekę. Podano mi konia. Wydałem rozkaz by na probostwie wszyscy się zebrali, Wolaninowi zaś poleciłem pilnować brzegu. Wyciągnął prom na brzeg, przedziurawił go, lecz zaledwie siadłem na koń, gdy błędna jakaś kula uderza Wolonina w czoło i kładzie go trupem.

Była to dla nas strata nie mała. Energiczny i śmiały bardzo, — w pierwszej bitwie pod Białką dał tego dowody — przez cały czas bitwy stał na szossie, przy rowie, w którym nasi klęcząc, strzelali. Wyszedł podziurawiony jak rzeszoto od kul, żadna go nie powaliła, a tu, po bitwie, dziwnym trafem padł od błędnej kuli! Gdy taki jeden ginie, to giną z nim tysiące! Cześć twej pamięci bracie Baltazarze Wolaninie!

Pochowaliśmy go na drugi dzień po nabożeństwie w Niemirowie. Strzały dochodziły do nas, nawet granaty pękały. Owi dwaj oficerowie rosyjscy — wzięci do niewoli pod Białką, głowy przed owemi granatami zakrywali płaszczami, by nie patrzeć się na śmierć od kul własnych żołnierzy. Śmieszyło to naszych, ale tak już z tem się obyliśmy, żeśmy przestali zwracać na to uwagę. Tak noc przeszła. Odpoczynek — chowanie Wolanina. Ruszamy ku Wysokiemu-Litewskiemu. O wiorst siedm zatrzymujemy się obozem we wsi należącej do rodziny Ziemkiewiczów. Na drugi dzień, w kilkanaście koni, jadę do Wysokiego, do Sapiehy. Zastaję go i błagam, by przyjął dowództwo, by się poświęcił dla sprawy, by stanął na czele oddziału tysiąca ludzi, który już dwa razy był w ogniu i jest pełen ducha i że na jedno jego odezwanie się cała Litwa powstanie. Nic to nie pomogło. Nie był to niestety potomek owych Sapiehów, co szablice mieli w obronie kraju zawsze do walki gotowe... Dał nam sześć koni, dwie dubeltówki, 250 rubli pieniędzy — oto ofiara, jaką złożył dla sprawy. Z tem wróciłem do obozu.

XI.

Dowiedziawszy się, że w Siemiatyczach, o 35 wiorst odległości od Wysokiego, zebranym jest oddział powstańczy, niewiadomo pod czyjem dowództwem i jakiej siły liczebnej, posłałem do Siemiatycz list tej treści: „Naczelnik oddziału Podlaskiego, wzywa dowódzcę oddziału w Siemiatyczach, by bezzwłocznie przybył z tym oddziałem, dla wspólnego dalszego działania,“ (podpis, oraz pieczęć i podpis naczelnika sztabu Goliana).

Gdyby mnie był podówczas usłuchał ów dowódzca, być może, że i następstwa byłyby pomyślniejsze dla nas, gdyż zamiarem moim było iść na Białowieżę, siedlisko żubrów, lecz i ludu, co pamiętał jeszcze rok 1830.

Nieszczęście mieć chciało, że w Siemiatyczach dowodził człowiek zarozumiały, wypadkowo jedynie narzucony na dowódzcę, jakiś budowniczy z Łap. Zebrało się tam dużo młodzieży z Warszawy i okolicznej szlachty, bez wodza. Ten się im narzucił, blagą zaimponował, więc wszyscy ruszyli do Siemiatycz. Fanfaronada, z jaką traktował powstanie, dostatecznie ujawniła się w liście przezeń mi nadesłanym przez Juliana Chodorowicza, mego kolegę szkolnego. Odpowiedź brzmiała: „Naczelny wódz a r m i i podlaskiej, wzywa niniejszem naczelnika o d d z i a ł u podlaskiego, by niezwłocznie zjawił się w Siemiatyczach, w głównej kwaterze, dla wspólnego dalszego działania, (podp.) Zameczek, vel Cichorski. Naczelnik sztabu: Sejfryd“

Odpowiedź taka zdziwiła mnie niepomiernie. Na zapytanie moje uczynione Chodorowiczowi: Ilu was jest? Co robicie? odpowiedział mi, że ich jest zapewne ze trzy tysiące ludzi, że szyją mundury i robią pancerze dla ułanów. „Nasz jenerał — nadmienił — ma już śliczny mundur, z ogromną wstęgą na piersiach i dla tego właśnie przystań do nas, bo inaczej źle będzie...“

Zawachałem się i choć mogłem skorzystać z praw moich, jako komisarz rządowy i iść tam, gdziebym chciał, jednakże miłując kraj i sprawę, której się oddałem, pominąłem względy osobiste i w nadziei, że oddział mój pozostanie mi posłuszny, i że będę miał przewagę nad tą gromadą, poszedłem do Siemiatycz.

Miałem do przebycia 35 wiorst z oddziałem 950 ludzi i stu wozów. Przeprawa nie była łatwa. Był już wieczór, gdym się

stolicą w Rzymie, a drugiego — w Wenecyi. W takim razie to drugie można byłoby zwiększyć włoskimi kantonami Szwajcaryi, Tyrolem i włoskiemi prowincyami Austryi...

— Wielkie wojny przekształcą państwa... zapewne... — wtrąciłem.

— To miałoby swoje znaczenie. W południowych Włoszech byłoby państwo Rzymskie, z papieżem na czele, a w północnych rzeczpospolita Wenecka, z domem Sabaudzkim na czele.

— A Austrya, a Szwajcarya? — spytałem.

— Słabych w rachubę nie biorę.

— Ale cóż to ma za związek z Polską? — jeżeli śmiem zapytać.

Zamiast odpowiedzi, hrabia zapytał mię.

— Czy pan pozwoli, że ja będę otwarcie mówić z panem?

— Ależ, panie hrabio, tylko o otwartość mi chodzi.

— Słuchaj pan zatem... My w Rosyi jesteśmy tego przekonania że kwestya polska dopóty istnieje, dopóki istnieje w Polsce katolicyzm. Raz usunięty z rytuału kościelnego w tej formie jak istnieje, przestaje być katolicyzmem. Religia zrówna nas, a właściwie nada charakter jednolitości państwowej, której teraz Polska nie posiada. Byle na tej drodze pierwszy krok uczynić, — reszta sama się zrobi. Mamy przykład na Białorusinach i Rusinach, którzy straciwszy łącznik z Rzymem, utracili nietylko pretensye swoje państwowe, ale cała inteligencya stała się moskiewską, a lud zatracił pojęcie idei narodowej.

— Na długo... — wtrąciłem.

— Na zawsze, — dodał hrabia.

Niezmieniając tonu, w tejże chwili ciągnął dalej:

Rosya obieca papieżowi państwo Rzymskie, a papież, jako głowa kościoła, zgodzi się niezawodnie na pewne ustępstwa naszego języka rosyjskiego w rytuale katolickim. Rosya wiele żądać nie będzie... jej chodzi tylko o pozwolenie. Unią przerobiliśmy na prawosławie w ciągu pięćdziesięciu lat; na katolicyzm będziemy potrzebowali stu.. A wtenczas? Monsignor Agliardi bardzo gładki człowiek, do ustępstw chętny, a Leon XIII nie bez wstrętu dołączy do korony Piotrowej koronę podarowaną przez Mikołaja II. W muzeach rządowych znajdzie się z pewnością jakaś korona, którą można będzie Leonowi XIII podarować, jak Węgrom szablę Rakoczego.

Zamilkłem.

Hrabia zwrócił się do mnie z miną słodką:

— Czy wierzysz pan, że teraz tylko jeszcze Rosya prowadzi politykę?

— Wierzę.

W tej chwili przyszedł Mekitka z pałacu i oznajmił że obiad podany.

— Ja rzekł hrabia — chłopskim zwyczajem jadam obiad w południe.

Dzwonek odezwał się właśnie.

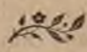
— To na południe...

A do mnie z uprzejmym uśmiechem zwróciwszy się, powiedział:

— Pan chlebem i solą nie pogardzi... Proszę... skończymy rozmowę naszą o polityce Rosyi.

T a r n o w o, 28 sierpnia 1896.

Wyszpolski.



POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

O owem sławetnem zebraniu nauczycieli w Laurahucie, na którem to zabrzmiały gromkie słowa ks. Swidra: „Wasserpolskiej mowy nie ma!“, a za które to śmiałe wypowiedzenie pp. nauczyciele et consortes ks. Swidra wyrzucili za drzwi słowami: „Raus! Hinaus!“ i o odezwie p. Grossera pisze „Katolik“:

W a l k a p r z e c i w P o l a k o m. Pan Grosser powiedział w Laurahucie, że nauczyciele nie tylko się o to mają starać, aby dzieci polskie niemczyć i niemieckiego ducha im wszczepiać, ale także i to, aby n a l u d w t y m s a m y m k i e r u n k u wpływać, to znaczy, że i lud mają germanizować. To mogą czynić, przez dzieci na rodziców wpływ wywierając i wprost na dorosłych. Tam gdzie rodzice po niemiecku choć trochę potrafią, sprawa dość łatwa. Rodzice z miłości do dzieci będą słuchali, jak dzieci opowiadają, jak z książek czytają po niemiecku. Główna rzecz w tem, aby się rodzice szkołą zajmowali. Należy ich przyciągać w różny sposób np. zapraszając na przechadzki szkolne. Starajmy się (nauczyciele), abyśmy na ludzi wpływ mieli, bo wtedy dobrze dla germanizacyi działać możemy.

Lecz gdy bieda, wtedy się człowiekowi niczego nie chce. A my nauczyciele jesteśmy często w wielkim ścisku, bo nam za mało płacą. Chociaż nigdy nie zapominamy o naszych obowiązkach, to jednak mielibyśmy więcej ochoty do germanizowania, gdyby nam więcej myta płacili.

Przeszkód jest dużo przy tej germanizacyjnej robocie. Gdy rodzice nabędą przekonania, że szkoła nie całkiem jest dobra, wtedy ją sobie nie wiele ważą. Tak jest na przykład z przygotowaniem do Sakramentów św. Szkoła uczy dzieci religii po niemiecku, a księża uczą po polsku i to wysoką polszczyzną. Wtedy rodzice muszą sobie myśleć, że dzieci w szkole nie nauczyły się niczego i muszą stracić do nauczycieli zaufanie. W niektórych parafiach uczą księża dzieci religii tylko po niemiecku. To dobrze dla niemczyzny. (Ale czy dobrze dla duszy dzieci? — Red.)

Dalszymi środkami do niemczenia młodzieży i ludu polskiego są szkoły uzupełniające, szkoły niedzielne, niemieckie związki i czytelnie ludowe. Trzeba ludzi różnymi sposobami wabić do takich szkół i do związków. Niech się one nazywają jak chcą, byle tylko niemieckiego ducha pielęgnowały i szerzyły.

Ale to wszystko nie odniesie skutku, jeżeli cała ludność niemiecka tak będzie obojętna w obec wielkopolskiej agitacyi. Każdy Niemiec powinien popierać i szerzyć germa-

---

zatrzymał na nocleg o 10 wiorst od Siemiatycz, w karczmie przy drodze.

Zaledwie się zacząłem rozlokowywać, gdy usłyszałem huk strzału armatniego. Domyśliwałem się, że to hasło do boju w Siemiatyczach. Dziesięć wiorst przebiedz po nocy z tysiącem ludzi, było rzeczą niemożebną, więc skrępowany w działaniu posłałem tych tylko, co zdążyć mogli: Radowickiego z kawaleryą i Goliana. Ci wpadli do miasta, w chwili, gdy nieprzyjaciel zeń się wycofywał.

Zanim opiszę ów nocny napad, wypada mi zatrzymać się na topografii Siemiatycz. Miasto to leży na drodze prowadzącej do Bugu, pomiędzy Drohiczynem a Bielskiem i Białystokiem, po nad szerokiemi błotami. Idąc zaś od Wysokiego litewskiego trzeba przebyć i błota i rzekę mostem, przez nie rzuconym, a prowadzącym wprost na rynek, z którego na lewo idzie aleja, prowadząca do pałacu i fabryk sukna, a dalej — droga do Drohiczyna. Po prawej stronie stoją dwa kościoły: katolicki i unicki, następnie dwa cmentarze, otoczone murem. Już na brzegu miasta, nad drogą prowadzącą do Bielska i Białegostoku, po za cmentarzami, rozciągają się owe wzmiankowane błota szeroką przestrzenią. Na rynku była podówczas duża murowana karczma, a od strony Wysokiego-litewskiego, przed błotami, — wielki drewniany szpital z kilku pawilonów złożony, w tę porę pusty. Miasto całe należało jako donacya do barona Faushawe. Dowódzca Zameczek stał już w Siemiatyczach od dni dziesięciu, zabawiając się szyciem mundurów i robieniem pancerzy z blachy obszytych ceratą. Otoczył się kilku dziesięciu młodymi ludźmi, których nazwał swoim sztabem, tworzył oficerów nieumiejących być żołnierzami, tem mniej zaś zdatnymi do kierowania wojskiem i demoralizował blagą ów zapał młodzieńczy. O tem — gdzie przeciwnik? co robi? najmniejszego nie miał wyobrażenia. Żadnych wart, żadnych podjazdów! Dla tego też, gdy Rosyanie od Bielska weszli do miasta i byli już na rynku, młodzież rozlokowana po domach dopiero ich spostrzegła i zaczęła z okien dawać strzały na oślep... Ciemna noc i rana zadana pułkownikowi prowadzącemu nieprzyjaciela, zmusiły tego ostatniego do odwrotu. Wtedy młodzież, bez przywódzcy, zagrzana tem powodzeniem, wybiega za cofającym się na pole i rusza wprost na armaty! Następuje strzał: kilku naszych pada i cofa się, lecz widzi że i Rosyanie, oszołomieni śpiewem „Jeszcze Polska nie zginęła! cofają się pozostawiając armaty na polu, aż do świtu...

Rano Zameczek zamierzył umknąć z miasta, wysłał obóz z kawaleryą do Drohiczyna, pod dowództwem Plucińskiego, naczelnika stacy kolei na Pradze, a choć wiedział od Radowickiego, że jestem o dziesięć wiorst od niego, nie wstrzymał wysyłki kawaleryi w 200 koni, czem nie mało osłabił oddział. Radowicki wraca z raportem że wroga już nie zastał, przybywa z nim Seyfryd, naczelnik sztabu Zameczka, ten, co wyjechał z Zygmuntem Padlewskim z Warszawy, także, jak się następnie okazało, małej odwagi, a zarozumiałości wielkiej.

Seyfryd powrócił zaraz do Siemiatycz, więc wiedział Zameczek z jakim idę oddziałem i że nad ranem się stawię. To go jednak nie powstrzymało od zamiaru wycofania się z Siemiatycz.

XII.

Godzina 8 rano. Podchodzę do miasta i zajmuję owe szpitale, urządzam obóz i rozdaję wszystkim ładunki, jakie miałem, strzelcom swoim, którzy tylko wyczekiwali chwili spotkania się z nieprzyjacielem... Zjawia się u mnie Jan Matliński z kilku jeźdzcami (Janek Sokół). Przyjechał od Jabłonowskiego, co stał z obozem w 800 ludzi o sześć wiorst od Siemiatycz. Po bitwie pod Węgrowem przeprawił się za Bug. Posyłam więc rozkaz Jabłonowskiemu by niezwłocznie przybył, gdyż bitwa spodziewana lada chwila. W takim razie niech uderza z tyłu (gdyż tak właśnie stał względnie do miasta). Z takim rozkazem Matliński pojechał, a ja byłem pewny, że za dwie godziny najdłużej nadejdą oczekiwane posiłki. Rozlokowawszy oddział pojechałem do miasta, wjeżdżam na rynek, gdy z drugiej strony wchodzi do miasta w 400 ludzi Lewandowski, który, po nieudanej wyprawie na Siedlce także przeprawił się za Bug. Był przy nim doktór

nizacyą. Mianowicie urzędnicy kopalni, hut i fabryk mają do tego najwięcej sposobności. Powinni tylko po niemiecku z robotnikami rozmawiać i niemieckie gazety między nimi szerzyć.

Przedewszystkiem jednak trzeba wszędzie tworzyć związki antypolskie, a wszystkie muszą mieć jeden zarząd, który będzie stale i wytrwale kierował walką przeciwko Polakom.

Dobrze, że p. Grosser tak otwarcie o różnych środkach germanizacyjnych powiedział. Wiemy teraz, że nauczyciele wszędzie niemczyznę wciskać mają, nawet aż do rodzin polskich. Tego nigdy dopuścić nie powinni rodzice katoliccy i polscy. Niech się dzieci w szkole po niemiecku uczą, skoro tego zmienić nie można. Ale w domu, w rodzinie, nie pozwalajcie rozszerzać się niemczyźnie, lecz uczcie dzieci czytać, pisać i śpiewać po polsku. W domu są rodzice najwyższą władzą. Tam już ani inspektor szkólny, ani żandarm nie może przepisów dawać. Starajcie się wszyscy rodzice, ażeby wasze rodziny były niejako fortecami polszczyzny, polskiego ducha.

Z mowy p. Grossera wiemy dalej, że środkami germanizacyjnymi są niemieckie związki. Strzeżcie się zatem tych związków, skoro są one niebezpieczeństwem dla narodowości polskiej. Polskich związków jest dosyć, a gdzie ich brak, tam można założyć związek.

Jednem słowem używajmy na korzyść naszej polskiej narodowości wszystkich tych środków, ile można, które nasi przeciwnicy do niemczenia zalecają prócz fałszów i nieprawdy. Sprawa polskiego ludu na Śląsku jest tak sprawiedliwa, że do jej obrony nie potrzeba fałszów, albowiem prawda Boska i historyczna jej broni. Gdy lud sam za swoją sprawę umiejętnie walczy, wtedy szkoła nie zdoła germanizacyi rozszerzyć. Pracujmy zatem umiejętnie i wytrwale dla dobra naszej polskiej sprawy.

* * *

Z powodu znanego procesu ks. dziekana Połomskiego z Wąbrzeźna przeciwko redaktorowi „Geselligera“ pisze „Dziennik Kujawski“:

„Lepsze czasy nastać teraz powinny i dla redaktorów polskich, jeżeli, jak rząd zapewnia, jesteśmy w obrębie monarchi pruskiej zupełnie równouprawnieni z Niemcami. Do nadziei tej upoważnia nas wyrok, wydany przez grudziądzką izbę karną w procesie ks. dziekana Połomskiego z Wąbrzeźna przeciwko redaktorowi „Geselligera“ p. Fischerowi. „Geselliger“ rozpisuje się o procesie tym w półtorałamowym artykule, a jest on rzeczywiście ze względu na wydany w nim wyrok nadzwyczaj ważnym i ciekawym. Zaznaczyć wypada, że przebieg jego był nieco innym, niż podała go „Gazeta Grudziądzka“, z której wyjęliśmy wiadomość, w numerze sobotnim podaną. Mianowicie to musimy sprostować, że ks. prałat Połomski nie czuł się obrażonym zarzutem, iż zakłada polskie towarzystwa, tylko twierdzeniem „Geselligera“, jakoby tym rodzicom, którzy posyłają dzieci swe do niemiecko-ewanielickiej ochronki, odmawiał spowiedzi. Na zapytanie prokuratoryi, czy zarzut taki mieści w sobie obrazę, odpowiedział ks. Biskup chełmiński, że rzeczywiście równa się zarzutowi grubego nadużycia władzy duchownej.

Zeznania świadków wykazały dowodnie, że ks. Prałat nie odpędzał tych rodziców od spowiedzi, że była to plotka, którą „Geselliger“ powtórzył. Sąd więc skonstatował, że „Geselliger“ obraził ks. Prałata. Dalej stwierdził, że oskarżony redaktor Fischer miał nawet zamiar obrażenia ks. Prałata, ale mimoto oskarżonego uwolnił od winy i kary i to z następujących powodów:

„Nasamprzód należy mu koniecznie przyznać opiekę § 193 kodeksu karnego, dotyczącego obrony uprawnionych interesów. Każdy bowiem Niemiec posiada prawo zwalczać zakusy polonizacyjne dozwolonemi środkami; po drugie, należy oskarżony redaktor do Towarzystwa HKT, którego zadaniem jest „odpierać polonizm“; po trzecie, jest redaktorem pisma, które postawiło sobie za zadanie, wszelkiemi siłami popierać niemczyznę „in den Ostmarken“ i zwalczać wrogie względem Niemców zakusy. Występując więc przeciwko ks. Połomskiemu, spełnił redaktor „Geselligera“ tylko potrójny swój obowiązek i dla tego, jakkolwiek rzeczowo i z rozmysłem obraził ks. Połomskiego, sąd uważa za słuszne uwolnić go od winy i kary.“

Tak podaje wyrok ten „Geselliger“. Uważamy go pod każdym względem za niezmiernie ważny i miarodawczy. I polscy redaktorowie bronią bowiem tylko uprawnionych interesów swej narodowości lub społeczeństwa swego, bronią go jedynie przeciwko zakusom, dążącym do zatracenia polskości, a jako Polacy są zupełnie uprawnieni do tego.

Jeźli więc ludność polska nie ma utwierdzić się w mniemaniu, że traktowaną jest jako ludność drugiej klasy, jeżeli prokuratorya nie założy rewizyi przeciwko wyrokowi temu i sąd rzeszy go nie obali, jeźli więc stanie się prawomocnym, natenczas sądzić wypada, że w przyszłości zasady wyroku tego zastósowywane będą i w procesach przeciwko polskim redaktorom, że i polscy redaktorowie wyjdą z nich w podobnych wypadkach obronną ręką. W każdym razie, gdy ten wyrok stanie się prawomocnym, powinni wszyscy redaktorowie postarać się o jego dosłowne brzmienie i odwoływać się nań w potrzebie.

Według wyroku tego, jeźli powyższe przez „Geselligera“ podane uzasadnienie zgadza się z oryginałem, wolno więc w obronie uprawnionych interesów i w zwalczaniu polskości popełnić obrazę.

* * *

W tym samym numerze „Dziennika Kujawskiego“ czytamy:

Czy to możliwe?

Z wiarogodnego źródła dochodzi nas następująca wiadomość:

Na lekcyi pedagogiki po wakacyach wielkich powiedział dyrektor seminaryum paradyzkiego dosłownie, mówiąc o chińskiem wychowaniu, co następuje:

Czarkowski z Łosić, o którym już wspominałem. Tak więc zebrała się naszych gromada. Zesiadam z konia i wchodzę do karczmy, gdzie była kwatera owego naczelnego wodza armii Podlaskiej, Zameczka. W izbie karczemnej przepełnionej dymem tytoniu, zastaję 50 młodych ludzi w jaskrawych ubraniach, mundurach ułańskich z blachami na piersiach, a pod oknem, z czarną brodą w białej czapce z czerwonym lampasem, w ciemnozielonym mundurze z czerwonym kołnierzem, z ogromną wstęgą niebieską przez piersi. Był to Zameczek.

Na moje zapytanie: co oznacza owe zebranie, jeden z młodzieńców odrzekł, iż to sztab jenerała.

Roździaźniony tem, zwracam się do Radowickiego, przy którym stali: Golian, Szaniawski i Lewandowski i rozkazuję: Wypraw ich wszystkich do szeregów. Żołnierzy nam trzeba, a nie sztabowców.

Usłyszałem szemranie, lecz gdy Radowicki zakomenderował do swoich, którzy stali na koniach na ulicy: „Z koni!“ wszyscy opuścili karczmę.

Wtedy dopiero nastąpiła żywa między mną a Zameczkiem rozmowa. Wystąpiłem jako komisarz rządowy, przedstawiłem Lewandowskiego jako głównego dowódzcę naznaczonego przez Rząd Narodowy dla województwa Podlaskiego. Zameczek ustąpił. Wyjeżdżamy z nim za miasto, obejrzeć pozycye i naradzić się nad obroną. Nie było wiele czasu do stracenia. Przez lunetę spostrzegliśmy o kilka wiorst zbliżające się kolumny rosyjskie...

Stanęło na tem, że Zameczek ze swemi siłami zajmie stronę miasta od Bielska, zkąd dążył nieprzyjaciel, przenocowawszy na cmentarzach, za któremi stali kosynierzy. Środek miasta, rynek, zajmie Lewandowski ze swoim oddziałem, ja zaś mam zająć lewe skrzydło miasta — pałac.

Pędzę więc do obozu. Oddaję dowództwo nad kosynierami Golianowi, część strzelców Szaniawskiemu, nad resztą sam biorę komendę i prowadzę ją przez miasto, rynek, aleje do pałacu.

To była trzecia nasza bitwa. Szliśmy ochoczo i w porządku, a gdy wpadliśmy na rynek, oddział Lewandowskiego powitał nas salwą oklasków i okrzykiem: niech żyją!

Biegniemy do pałacu, zajmujemy go. Szaniawski staje na brzegu miasta, pomiędzy mną, a Lewandowskim; Radowicki z kawaleryą w alei, a Golian, po za murami pałacu ze swymi kosynierami.

Zamiar nasz był następujący: Jeśli się uda odbić atak nieprzyjaciela od miasta, to z całą siłą naszych kosynierów wyjdziemy na pole i tam się rozprawimy. Liczyłem na nasz zapał i na popłoch przeciwnika, gdy z tyłu nań uderzy Jabłonowski, o którym nic nie wiedzieli. Szło o to tylko, by zwycięzko odeprzeć atak! Rosyanie zbliżyli się, okolili miasto i zaczęli pod nie podchodzić rozwiniętym łańcuchem...

Wtedy spostrzegłem, że ich siły znaczne, gdyż, jak się okazało, przyszedł im w pomoc jenerał Maninkin z Białegostoku i przyprowadził dwa szwadrony ułanów, sześć armat, dwa bataliony piechoty i dwie sotnie kozaków.

Liczebnie — byliśmy górą, lecz broń nasza była mizerna, żadnej znajomości walczenia w żołnierzach i, niestety, brak koniecznej w takich razach odwagi!

Strzał armatni! Granat padł na dach pałacu, gruz posypał się na głowy nasze i zaczęła się bitwa.

Rosyanie rzucili się do ataku, posuwając się ku nam. Kule karabinowe zaczęły świstać, granaty pękać nad głowami, my zaś musieliśmy czekać aż się nieprzyjaciel zbliży na metę naszych dubeltówek i odstrzeliwać się bezskutecznie...

Na atakujących, wysunęli się kosynierzy. Można przyznać, że uderzyli dobrze, bo wróg się cofnął na chwilę. Chciałem się przekonać, czy to na całej linii się stało, lecz dym nie pozwolił mi ogarnąć okiem pozycyi. Posyłam do Szaniawskiego, by się dowiedzieć, jak idzie obrona? gdy wtem wpada Radowicki z kartką od Lewandowskiego w której zapowiada, że prawe skrzydło nasze, Zameczek, cofnęło się, wyparowane z cmentarzy przez dwie roty piechoty nieprzyjacielskiej i że wróg zabiera się atakować rynek..

(Dokończenie nastąpi.)



„Die Chinesen können wir mit den polnischen Bauern vergleichen. Diese beobachten ebenso, wie Chinesen nur die äussere Form. Sie (die poln. Bauern) haben keine Ahnung, was ein Sakrament ist, sie gehen zu denselben nur, weil es so Gewohnheit ist. In der Kirche werfen sie sich auf die Erde, küssen dieselbe, beten Rosenkränze und aus der Kirche gehen sie direct in die Kneipe".

W dniu po uroczystości sedańskiej powiedział p. dyrektor tak:

„Mit den poln. Bauern kann man machen, was man will. Es sind nur solche Hetzer unter dem Volke, die das Bauernvolk authetzen und gerade diese sollen und müssen hochgenommen werden."

W ocenę dwóch tych wycieczek przeciwko chłopom polskim na razie wdawać się nie będziemy. Zapytujemy się tylko p. ministra Bossego czy godzi się na to, aby takiemi wycieczkami na lekcyi pedagogiki obrażano uczucia polskich uczni seminaryum i całego ludu polskiego.

LITERATURA I SZTUKA.

S. p. Zygmunt Kaczkowski.

Znowu do kroniki żałobnej, w której społeczeństwo nasze zapisuje zgony utalentowanych i zasłużonych swych członków, przybywa nowe imię człowieka, który trwałą po sobie pozostawił pamięć na kartach literatury polskiej. Z Paryża dochodzi nas wiadomość o śmierci Kaczkowskiego. Niema chyba wśród inteligentnego ogółu polskiego nikogo, komuby nazwisko to obcem było. Ograniczamy się teraz na tej lakonicznej wzmiance, w najbliższym zaś numerze podamy ocenę działalności literackiej zmarłego. Na daleką mogiłę pisarza naszego szlemy życzenie: oby mu obca ziemia lekką była!

Wojciech Kętrzyński.

(Z powodu 30-lecia pracy naukowej).

Kto pozna osobiście tę postać wyniosłą, szlachetną, a dziwnie ujmującą w obejściu, spostrzeże pewien dualizm psychiczny. Z jednej strony łagodność, skromność, zupełny brak pretensyi (tak pospolitych w pewnej okolicy Polski), choć miałby do nich niejedno prawo, każe go zaliczyć do kategoryi tych, których ewangelia nazywa „cichymi". Równocześnie jednak widzi się jasno, że ten „cichy" nie dałby się zagłuszyć; ruch głowy, rąk, zdradzają wielką stanowczość, niemal twardość charakteru, i są widocznie tylko miarkowane ową „cichością" tak, że nasuwa się domysł, iż gdyby ów cichy uważał za stosowne rozwinąć tę drugą stronę charakteru w całej pełni, nic krępując jej niczem, stałby się w jednej chwili z książkowego benedyktyna, z pokojowego strażnika pamiątek przeszłości, żołnierzem, chorążym zaciekłym, który da sobie prawą rękę odrąbać, a w lewicy sztandar poniesie do dalszego boju. Wzrok jego zdaje się mówić naprzemian „Witaj przyjacielu" i „Nie zaczepiaj mnie!" — zaprasza do zbliżenia się i ostrzega przed ochotą do nadużycia.

Wychowywał się na niemca, nazywał się po niemiecku, czysto niemieckiem nazwiskiem Winkler. Urodził się w Lecu, w Prusach Wschodnich, w r. 1838; wyrastał w czasach i w otoczeniu, nie mających nic wspólnego z polszczyzną, nie znając nawet języka polskiego. Dopiero dorosłym już będąc młodzieńcem, dowiedział się, że właściwe nazwisko jego rodu jest: Kętrzyński, a całe „winklerstwo" nie jest niczem innem, jak tylko brutalnym zamachem na jego pochodzenie, język i tradycye. Zaczyna walkę, nie daje się odstraszyć nawet więzieniem; staje w krótkim czasie w pierwszym szeregu młodzieży polskiej w Prusach oko w oko z germanizmem i odtąd walczy z nim ząb za ząb taką bronią, jaką czasy i okoliczności nakazały.

W Królewcu wychodzi w r. 1866 pierwsza jego praca. Świadomy on już swych obowiązków i swego celu. Za temat rozprawy wziął wojnę Bolesława Chrobrego z królem niemieckim Henrykiem (De bello a Boleslao Magno cum Henrico rege Germaniae gesto anno 1002—1005). Germanizacyjny zamach na jego nazwisko i osobę zwraca go do studyów w tym właśnie kierunku; wszak germanizuje i germanizowało się całe kraje. Germanizuje nietylko władza ale i nauka niemiecka, któraby rada przywłaszczyć wszystko niemieckiemu imieniowi. Z chęci obrony, a nawet odwetu powstała praca „Die Lygier" (1868), która autorowi przyniosła sławę. Chodzi o interpretacyę tacytowskiej „Germanii". Kętrzyński słusznie zwraca uwagę, że „Germania" nie była dla rzymian pojęciem etnograficznem, lecz geograficznem. Dopatrzył się też słowian w większej części ludów, wymienionych przez Tacyta, a zwłaszcza „rewindykował" lygiów, semnonów i swewów. Dzieło to nie ukończyło polemiki o pierwotne granice osiedlenia się praniemieckiego i słowiańkiego, ale bądźcobądź jeden wydało skutek: „O etnograficznych Germanach" nad Odrą, a cóż dopiero nad Wisłą, żaden historyk, który chce być traktowanym na seryo, mówić już nie może. Może się wyrwać ten i ów królewsko-pruski historyk z twierdzeniem, że Szląźk i Poznańskie były pierwotnie germańskiemi ziemiami; ale wobec poważnej nauki tacy autorowie wyglądają już jak Filipowie z konopi.

Bardzo poważne jednak jednostki czyniły zastrzeżenia co do Prus królewskich, czyli zachodnich. W 1874 pojawia się w publikacyach krakowskiej Akademii praca Kętrzyńskiego „O narodowości polskiej w Prusiech zachodnich za czasów krzyżackich" z dewizą „Suum cuique". Czytamy tam na samym wstępie: „Wiadomo powszechnie, że Niemcy jakieś prawo naturalne roszczą sobie do Prus Zachodnich, jako do ziemi niegdyś niemieckiej, a potem dopiero spolszczonej; tym pretekstem nawet uniewinniają dziś rozporządzenia i prawa rządowe, dążące do zagłady zupełnej ludności polskiej. Że Prusy Zachodnie były niemieckie, uczono mię w szkole i czytałem w książkach poważnych. Że ludność wiejska nie była wszędzie niemiecka, później prędko

---

Oktawiusz Mirbeau.

Pod bukiem.

Wspomnienie z 18-go listopada 1870 r.

Już dwadzieścia pięć lat minęło od owego dnia! A pomimo lat tylu dręczy mnie to jak zmora, kiedy o tem wspomnę.

* * *

Sierżant Millard wracał do obozu, zmieniwszy żołnierzy, stojących na warcie. Szedł pustą, rozległą płaszczyzną, na której tu i owdzie rosły kępy drzew i kawałki lasu. Niebo było szare. Mrzył deszcz i było chłodno. Rozmoczona, śliska ziemia oblepiała błotem ciężkie buty sierżanta. Wśród olbrzymiej równiny nie było i śladu życia. Nie rysowała się na niej żadna postać człowieka lub zwierzęcia, a nad pustemi, opuszczonemi przez mieszkańców kilku chatami, nic unosił się dym z kominów. W dali, wielkiej dali, występowała lekko, niebieskawo, jakby chmurka, katedra w Chartres.*)

*) Miasto Chartres, o kilkanaście mil na południo-zachód od Paryża, posiada wspaniałą gotycką katedrę, która, stojąc wśród płaskiego kraju, widzialna jest o kilka mil dokoła.

Pułk nasz obozował od pięciu dni wśród tego pustkowia. Chodziły pogłoski, że prusacy już zajęli Chartres, i co chwila spodziewaliśmy się ich ujrzeć, wynurzających się na krańcu równiny. Wieczorem, wśród ciszy, zdawało się nam, że dolatują od strony miasta dzikie odgłosy mordów i wojskowej muzyki, tak, iż mrowie chodziło po kościach, chociaż nikt się z tem przed drugim nie zwierzał.

Poprzedniego dnia, podczas przeglądu, powiedział nam pułkownik:

— No, dzieci, spotkamy się z nimi jutro... tak, zapewne jutro.... Liczę na was, że wytępicie sporo tej szarańczy... A nie puszczajcie mi żywcem żadnego... Damy się im we znaki, psubratom! Oj damy! Niech żyje Francya!

Nasz pułkownik lubił przechwałki i chętnie udawał zajadłego wojaka starej daty. W gruncie nie był złym człowiekiem. Nawet robił co mógł, by nam biedę znośniejszą uczynić i oszczędzał nas, nie męcząc żołnierzy bezpotrzebnie.

Mimo przepowiedni pułkownika ranek dnia następnego zeszedł spokojnie, niczem nie różniąc się od poprzednich. Wśród olbrzymiej płaszczyzny nie drgnęło nic. Zniecierpliwiony pułkownik wyjechał z trębaczami naprzód i, przystanąwszy o jakie pięćset metrów od obozu, kazał zatrąbić jakby na urągowisko wrogom, stojącym załogą w Chartres. Ale nawet heroiczne odgłosy bojowe nie wywabiły prusaków na naszą pustą równinę.

Powrócił do obozu zły, krzycząc i klnąc:

— Tchórze!... powiadam wam, że to tchórze!... Ale cierpliwości... Damy im cięgi... nie zwlekając zapoznają się z nami... Kopiąc ich, zagnamy to plugastwo aż pod paryzkie forty... Słyszycie dzieci... pojedziemy im na karkach jak na bestyach... Bo istna to bestya te prusaki... bestya z Bismarkiem zamiast pyska, a z Moltkiem zamiast ogona... Poczekajcie dzieci... jeszcze uśmiejemy się do syta!

Przez cały dzień chodził pułkownik po obozie i założywszy ręce na plecach, złorzeczył prusakom, mruczał coś pod nosem, gryzł niedopałki cygara, podczas gdy żołnierze szykowali w kociełkach strawę wieczorną.

* * *

Zmieniwszy wartę, sierżant Millard wrócił do obozu około godziny piątej. Już się ściemniało, lecz powrót jego wywołał ogólne zamięszanie. Żołnierze odbiegli od ognisk, około których stali kupkami, oczekując na gotującą się wieczerzę i zewsząd dopytywano się, popychano, każdy chciał wiedzieć, jak i co się stało.

A było czemu się dziwić, bo sierżant trzymał za cugle konia pruskiego kawalerzysty, lecz na siodle nikt nie siedział, tylko krwawiły się jakieś szmaty przytroczone

sam się przekonałem, ale szlachta, niemieckie mająca zazwyczaj przydomki, z niemców pochodzi, to zdawało się nie ulegać żadnej wątpliwości. Szlachta więc niemiecka spolszczała, sądziłem warto zatem śledzić, kiedy to się stało i jakie tego zjawiska były przyczyny? Ale zastanowiwszy się głębiej i zbadawszy źródła przystępne, i to twierdzenie okazało się wątpliwem. Postanowiłem zbadać tę rzecz gruntownie, a gdy przypadek zdarzył, że parę lat przepędzić w Prusach Zachodnich byłem zniewolony, korzystając z tej okazyi, zrobiłem na miejscu studya odnośne." Studya te opierają się głównie na niewyzyskanym jeszcze materyale archiwalnym z archiwów w Toruniu, Chełmnie, Grudziądzu, Gdańsku, Pelplinie, Malborgu, Sztumie. Nowiu, Łaszynie, Radzyniu, Kisielcu, Golubiu, Wąbrzeźnach, Świecach i w Szenwałdzie; wyzyskał tedy wszystko, czem tylko prowincya cała służyć mogła. Przechodzi najpierw ludność wiejską, a potem szlachtę obwodami, powiatami, dekanatami: okazuje się niewątpliwie, że szlachta była tam już za krzyżackich czasów w olbrzymiej większości polska (w znacznej mniejszości niemiecka była napływową), że nie spolszczała wcale dopiero w XVI i XVII w. Skoro jednak wsie za krzyżackich czasów miały dwojakie nazwiska (polskie i niemieckie, z polskich przekręcane), więc szlachta, siedząca po polskich wsiach, miała również dwojakie nazwiska i obydwóch używała, stosownie do tego, kto i w jakim celu akt sporządzał. Ciekawe jest odkrycie, że dawna ludnosć prusacka polszczyła się w Pomeranii za czasów krzyżackich. Trzecia część rozprawy poświęcona miastom. Wykazano, że już w czternastym wieku, nie tylko XV, mieliśmy tam Stojajów, Kińskich, Grzybowskich, Kotarskich, Kuszeckich.

Pierzchły wobec tego wywody uczonych niemieckich. którzy takie nazwy jak Jesko, Lanczko, Pasto, Pistko, Stasko itp. uważali za — starosaksońskie.

Na końcu rozprawy zamieścił Kętrzyński uwagę, że kraj mazurów (w Prusiech książęcych) w 15 wieku był jeszcze tak dalece polski, że szlachta tamtejsza nawet po niemiecku nie umiała, bo składała homagium wielkiemu mistrzowi w języku polskim. Już dwa lata przedtem ogłosił pracę p t. „O mazurach i zbiór pieśni gminnych ludu mazurskiego." (Poznań 1872).

Niesposób tu podawać cały katalog jego prac naukowych. W swych rozprawach specyalnych raz tylko posunął się za wieki średnie, w pracy o Stanisławie Górskim, zbieraczu t. zw. „Tomicyanów", zasadniczego źródła do historyi polskiej w. XVI. Umiłował zaś sobie okres Piastowski, a zwłaszcza poświęcił się t. zw. krytyce źródeł. Dzieło jego „Studya nad dokumentami XII w." (w Rozprawach Akademii, Kraków, 1891) jest pierwszem wyczerpującem studyum w tym przedmiocie. Czy wnioski przezeń tam zebrane utrzymają się wobec nauki, trudno dziś przewidzieć. Zaatakowali je dotychczas Wojciechowski i Krzyżanowski; ale bądźcobądz ktokolwiek dotknie tego przedmiotu, musi się liczyć z poważną pracą p. Kętrzyńskiego. Na razie trwa spór naukowy o początki dyplomatyki polskiej, o czem Kętrzyński także osobną rozprawę ogłosił.

Brał też Kętrzyński udział w pomnikowem wydawnictwie, zaczętem przez Bielowskiego, a kontynuowanem przez lwowskie grono komisyi historycznej Akademii umiejętności „Monumenta Poloniae historica."

W r. 1862 ogłosił w publikacyach Akademii pracę pt. „Granica Polski w X. w."; stara się tu wykazać, że Małopolska w wieku X nie była czeską prowincyą, lecz należała już do państwa Mieczysława I, jak również Słowaczyzna aż do Dunaju; Morawy nawet były polską zdobyczą już w r. 960. „Wielka Chrobacya" nie istniała, zdaniem autora, w Małopolsce, lecz siedzibą Chrobatów była Panonia po za Dunaj aż do granicy czeskiej. Na lewym brzegu Odry natomiast nie miało państwo Mieszka I po za Szlązkiem żadnych innych posiadłości, oprócz ziemi lubuskiej. Co do granicy północnej, mniema autor, że Pomorze, pomiędzy Odrą a Wisłą (sięgające do Warty i Noteci) było prawdopodobnie w posiadłości polaków w ostatnich latach panowania Mieszka I, lecz czas zdobycia nie da się ściśle oznaczyć. Do rozprawy dołączył Kętrzyński bardzo ciekawą mapę, przedstawiającą Polskę w r 1000: państwo to olbrzymich rozmiarów, sięgające od Dunaju do morza Bałtyckiego, a od granic czeskich aż do Narwi i Bugu.

Dzieło to nie pozyskało w pierwszej chwili uznania dla swych rezultatów, obalających śmiało dotychczasowe poglądy; zwolna jednak niektóre poglądy Kętrzyńskiego zaczynają zdobywać sobie trwalsze podstawy. Co do Krakowa np., opinia przychyla się już do hypotezy lwowskiego uczonego. Zresztą jak we wszystkich tego rodzaju kwestyach, należy czekać aż dalsze studya sprawę bliżej rozświecą; ale samo postawienie kwestyi jest niezaprzeczoną zasługą Kętrzyńskiego.

Sporną, pomiędzy Małeckim a Kętrzyńskim, jest sprawa o genezę i autora t. zw. „Kroniki wielkopolskiej" (Baszka). Kętrzyński wydał r. 1895 osobną pracę o tym przedmiocie; twierdzi, że autorem jest nieznanego nazwiska proboszcz w Santoku, a pisał pomiędzy rokiem 1356 a 1395. Małecki zaś staje w obronie autorstwa Baszka. Obecnie jest pod prasą obszerna praca Kętrzyńskiego „O rocznikach polskich." Wspomnieć też trzeba „Katalog rękopisów biblioteki zakładu narodowego im. Osolińskich we Lwowie." Obszerna gruntowna praca zaczęła wychodzić w r. 1881; w r. 1890 wyszedł zeszyt pierwszy tomu trzeciego. Jedyną wadą tego katalogu jest, że pragnie być zbyt dokładnym. Doprawdy takiego katalogu nie posiada żadna na świecie chyba biblioteka; ale też za to mamy zkatalogowanych dopiero numerów 937 (nie przesądzając tego co może być w rękopisie) i zachodzi ciężkie pytanie: kiedy będzie koniec katalogu prowadzonego w ten sposób? Jeżeli się w ten sposób ukończyć da, wielka wygrana — i owszem; ale ryzyko jest wielkie. Bądźcobądź, przedsięwzięcie jest tego rodzaju, że ono samo tylko zapewniłoby Kętrzyńskiemu zaszczytne imię w nauce.

Za młodu zmiennym kolejom losu poddany, znalazł następnie locum standi we lwowskiem Ossolineum, gdzie mu upłynęła połowa życia. W „Katalogu rękopisów" trwałą pozostawia pamiątkę zakładowi, któ-

---

z boku. Za koniem szło kilku z patrolujących żołnierzy. jeden z nich niósł tryumfalnie zatknięty na karabinie hełm pruski, drugi potrząsał długim pałaszem a trzeci strzelbą. Twarz sierżanta promieniała radością.

— Cóż to? — zapytał pułkownik, nagle nadszedłszy i torując sobie drogę pośród żołnierzy otaczających sierżanta.

Spojrzawszy na pojmaną zdobycz, spytał: Gdzieżeś to znalazł?... Gadajże mi zaraz do stu piorunów, gdzieżeś to wykopał?...

Sierżant Millard zaczął opowiadać z miną człowieka pewnego pochwały swego zwierzchnika:

— Panie pułkowniku, rzecz się tak miała... Zluzowałem żołnierzy i wracali ze mną z posterunku. Przechodząc wzdłuż, brzegiem lasu, znalazłem się nagle nos w nos z pruskim kawalerzystą. Przestraszyłem się na razie... ale i on się przestraszył. Zatrzymałem się... on też konia zatrzymał. Nie chciałem oczom moim wierzyć, aby to miał być prusak. A jednak miał pruski hełmn na głowie i szeroki biały płaszcz. Patrzałem na niego jak na zjawisko... a tu mój prusak zdejmuje hełm i rzuca go na ziemię, rozpina płaszcz i także go ciska, odczepia pałasz i dalejże go na kupę... Wreszcie z siada sam z konia, uśmiecha się do nas, macha rękoma jakby witał przyjaciół i gada do mnie, przekręcając po swojemu: „Toi, bon Français!" Więc to naprawdę był prusak; Dopiero teraz jak zagadał, uwierzyłem, że mam przed sobą prawdziwego pludra i czułem, że mi serce rość zaczyna z dumy...

— Dalej... dalej, do rzeczy! — zawołał pułkownik. — Nie marudź z niepotrzebnemi uwagami...

— Otóż, panie pułkowniku, nigdybym nie był przypuszczał, że prusak może mieć tyle uczciwości na twarzy — mówił znów sierżant, ale głosem mniej stanowczym. — Włosy miał jasne i twarz różową, jak dziecko... a z oczu patrzała mu sama dobroć.

— Chwytajcie mi tę szpetną szarańczę! — zawołałem na moich żołnierzy. Prusak się nie bronił i podczas gdy mu odbierali konia i krępowali ręce, śmiał się jakby uradowany, powtarzając jakby przyjaciołom: „Mam żonę... tam... daleko... mam dzieci... nie chcę wojny... nie chcę wojny!"

— Więc poddawał się dobrowolnie? — spytał pułkownik a twarz mu nagle spoważniała.

— Tak, panie pułkowniku, prusak poddał się dobrowolnie — odpowiedział sierżant Millard. — Byłem rad, żem złapał prusaka, a zarazem miałem z tego kłopot. Nie wiedziałem, co mam zrobić z tem szpetnem plugastwem... Mówiłem sobie: „Jeżeli go dostawię do obozu żywcem, to pan pułkownik będzie w złości, bo przecież tyle razy nam powtarzał, aby żadnemu prusakowi życia nie darować". A znów w duszy strasznie mi było markotno zabijać tego człowieka, uśmiechającego się do nas jak do rodzonych braci. Zapytałem o radę moich żołnierzy: „Cóżbyście zrobili na mojem miejscu? A oni tylko pokiwali łbami. Żaden nie wiedział. Na szczęście przypomniałem sobie słowa pułkownika: „A nie puszczajcie mi żywcem żadnego!" To mnie zdecydowało.

— Więc cóż?... Rozstrzelałeś tego człowieka? — wrzasnął pułkownik.

O kilka kroków od miejsca gdzie staliśmy — mówił w dalszym ciągu sierżant, — rósł wielki buk... Gruby stary buk, który jakby wyskoczył naprzód z pomiędzy lasu. Kazałem prusaka mocno przywiązać do drzewa. Wtedy dopiero prusak zmienił się na twarzy, zaczął blednąć i prosić się:

— Nie chcę umierać... nie chcę wojny... ja mam żonę... mam dzieci... dobry francuzie, nie zabijaj... nie chcę umierać... nie chcę wojny....

Myślałem wtedy, że serce mi pęknie z żalu... byłbym beczał, słuchając jak szwargotał, tak mnie coś do niego ciągnęło. Alem powtarzał sobie w duchu słowa pana pułkownika i to mnie utrzymało i dodało mi otuchy. Więc niechaj się dzieje jak każe służba, krzyknąłem na moich: „Pal!" i odwróciłem głowę, bo myślałem, że sam padnę z żałości...

Sierżant zamilkł a pułkownik opuścił na piersi pobladłą głowę. Jakoś wszystkim było niewesoło, gdy sierżant znów zaczął mówić:

— Zabraliśmy mu płaszcz i mundur, oto jego koń i wszystka broń... A jego zostawiliśmy tak związanego z bukiem, jak przed rozstrzelaniem... Wzięliśmy również

rego jest dyrektorem. Akademia umiejętności mianowała go swym korespondentem zaraz przy założeniu tej instytucyi; od r. 1887 jest jej członkiem czynnym; wysłużył się jej szeregiem poważnych rozpraw i wydawnictw źródłowych. Społeczeństwo zaś całe otacza go szacunkiem za niezłomność woli i charakteru, za wierne służby nietylko w nauce, lecz w ogóle dobrej sprawie, pod której sztandary sam przystał dobrowolnie, na ochotnika, zgłaszając się z pośród kohorty zgermanizowanych już straceńców. Żywot Kętrzyńskiego jest sam przez się dokumentem na nieprzedawnienie praw krwi; a taki dokument dodaje słusznej dumy społeczeństwu, że krew w niem jeszcze nie woda, że tętni jeszcze i ożywić organizm potrafi.

Poważną pracą, a nie szowinizmem, dorabiał się imienia w szeregu pierwszych bojowników; to też dorobił się honorów, oddanych mu także przez drugą stronę wojującą. Już dawno był członkiem niemieckiego Towarzystwa historycznego w Królewcu. W roku obecnym, gdy minęło lat 30, odkąd wydał pierwszą pracę naukową, przysłało mu dyplom na członka honorowego wrocławskie Towarzystwo historyczne, bardzo a bardzo niemieckie w wojującem znaczeniu tego wyrazu. W dyplomie oświadczają wyraźnie, że wiedzą dobrze, co Kętrzyńskiego różni z ich kierunkiem; ale cenią uczonego, którego badania dziejowe mają niepoślednie znaczenie dla historyi Szląska.

Zmusił niemców nietylko do zrzeczenia się „Winklera“, ale nawet do pełnego szacunku uznania dla „Kętrzyńskiego“. A to publiczne okazanie mu szacunku może służyć za wskazówkę, że możeby też inaczej o nas mówiono wśród germanizatorów, gdyby germanizowani częściej się mogli powołać na kogoś wyższego ponad zawiść, a przedstawiającego coś konkretnego, nietylko echo pustego hałasu.

Kętrzyński jest w pełni sił i pracuje pełnemi żaglami na swojem dziejowem przestworzu; nie ustępuje z widowni naukowej, lecz jest ciągle aktualną na niej postacią i ma jeszcze sporo... przed sobą. Szkoda wielka, że nie zabiera się do ponownego opracowania tematu, poruszonego przed 28 laty w dziele „Die Lygier.“ Takie ponowne poruszenie kwestyi, po latach trzydziestu przez uczonego, który przez ten czas nigdy nie spoczywał, wciąż się kształcił i wzmagał w wiedzę, miałoby niepospolitą wartość; każde słowo znalazłoby uważnych i pilnych czytelników. Zapewne, że niejeden ustęp sam autor wykreśliłby już dzisiaj. Isis nie byłaby już Jessem, Nerthus, Freyr i Freya nie byłyby już bóstwami słowiańskimi i Mugilones nie tak łatwo spolszczyliby się na „Mogilan“ — zapewne, minęło przecież lat trzydzieści; ale to, coby z dawnego dzieła zostało, miałoby już trwałą wartość, wzmożone całym zasobem nowych spostrzeżeń naukowych, których u Kętrzyńskiego nie brak. Nikt bardziej od niego nie jest powołanym do tego, żeby w niejednej kwestyi z tej dziedziny zabrać głos rozstrzygający.

(Kraj). *Feliks Koneczny.*



Zofia Kowalewska.

przez

Laurę Marholm.

(Studyum psychologiczne.)

(Ciąg dalszy).

Przyszedł i minął rok 1870 — Zofia wciąż się uczyła. Sen jej stawał się coraz krótszym i niespokojniejszym, po największej części nie wiedziała nawet, co jada. Nagle na wiosnę 1871 r. przerwać musiała naukę i wyjechać do Paryża. Wzywała ją tam siostra, która zakochała się była namiętnie we Francuzie, należącym do Komuny. Ukochanego jej uwięziono, znajdował się w niebezpieczeństwie. Zofia i Kowalewski przedostali się szczęśliwie przez kordon wojskowy i napisali do ojca. Teraz dopiero generał Krukowski dowiadywał się, co porabiały córki jego za granicą. Przybył natychmiast. Po rozmowie z Thiersem i dzięki odwadze Anny ułatwiono ucieczkę niepożądanemu zięciowi. Ojciec zachował się w całej sprawie niepospolicie szlachetnie. Surowy ten mąż nietylko przebaczył i uznał fakty, lecz podziwiał córki swoje. Między ojcem a niemi wywiązał się stosunek tak serdeczny, tak pełny ciepła i zrozumienia, o jakiem dawniej marzyć było niepodobna. Bezwzględna miłość Anny imponowała mu, lecz na platoniczny związek Kowalewskich patrzał z zasmuceniem.

Zofia otrzymała 1874 r. w Getyndze stopień doktora na podstawie trzech rozpraw matematycznych, z których zwłaszcza jedna: „Przyczynek do teoryi ułamkowych zrównań różniczkowych“, liczy się do prac jej najznakomitszych. W krótce potem cała rodzina zgromadziła się w Palibinie. Zofia była śmiertelnie wyczerpana — przez długi czas nie mogła jąć się żadnej poważniejszej pracy umysłowej. Lecz pora wypoczynku trwała krótko. Po kilku miesiącach umarł jej ojciec i cała rodzina przeniosła się do Petersburga. Dotychczas pracował był w Zofii tylko mózg — wszystko inne milczało. Pod wpływem upartej, nieustannej autosugestyi, która działa u kobiety, zwłaszcza u młodego dziewczęcia częściej daleko, niż u młodego mężczyzny, pracowała z żelazną wytrwałością, bez miary i granic. Tak pracowała też Marya Baszkircew: bez tchu, bajecznie, gorączkowo, rok w rok, z niebywałem natężeniem, z niepojętą, niespożytą, twórczą świeżością - podczas gdy w młodem jej trawiącem się ciele gospodarowała już śmierć. I nagle było po wszystkiemu. Tak pracuje niezliczone mnóstwo przekwitających dziewcząt z przyzwoitych rodzin mieszczańskich — za nędzną zapłatę, którą przez współzawodnictwo wzajem sobie jeszcze obniżają; z podobnie gorączkowym pospiechem inne, lepiej postawione, ślęczą nad robótkami ręcznemi, z których nic nikomu nie przyjdzie; w ten sam sposób pracuje większa część smaganych przez biedę proletaryuszek. Rezultatem zaś tych zachodów jest, że wszystkie te kobiety zapominają, jak wygląda radość i stają się niezdolnemi do szczęścia.

Pobyt w Petersburgu sprowadza pierwszy przewrót w istocie Zofii. Usuwa matematykę, nie chce o niej słyszeć, pragnie ją zapomnieć. W miarę odzyskiwania zdrowia, ciało i duch jej zaczynają domagać się równowagi. Tęskni do towarzystwa, wymiany myśli, do rozrywek i rzuca się w wir wszystkich spraw publicznych i umysłowych. Nadto budzi się w niej kobieta. Wcześniej jeszcze, w rozdrażnieniu, poczuciu sierοctwa, w żałości po śmierci ukochanego ojca — po siedmioletniem prawie fikcyjnem małżeństwie — połączyła się istotnie z mężem swoim. Odtąd garnęła się do niego coraz bardziej. Ponieważ spuścizna po ojcu nie wystarczała na ich potrzeby, oboje rzucali się z jednej spekulacyi pieniężnej w drugą. Całą ruchliwość i ogień ich fantazyi pochłonęło budowanie domów i zakładów kąpielowych, tworzenie nowych czasopism i próbowanie wszelakich nowych wynalazków. W pierwszych latach przedsiębiorstwom ich towarzyszyło stale szczęście. W r. 1878 urodziła im się córeczka. Potem nastąpił krach. Tymczasem Kowalewskiego ogarnęła była gorączka spekulacyi. Mimo to, że w r. 1880 mianowany był profesorem paleontologii w Moskwie; mimo że żona jego czyniła co mogła, aby go powstrzymać, przyłączył się do towarzystwa oszustów, które miało na celu eksplotacyę źródeł naftowych w Rosyi południowej. Interes zawiódł i Kowalewski zastrzelił się.

Zofia nie żyła już z nim podówczas. Sny i przeczucia przepowiadały jej przy-

---

zegarek, który panu pułkownikowi oddajemy, a także portmonetkę, ale była pusta... Koło buku zostały na ziemi jakieś listy i fotografie, które miał przy sobie w skórzanym woreczku...

— Dosyć!.... Milcz! — krzyknął pułkownik.

A zwróciwszy się do żołnierzy, zakomenderował:

—Aresztujcie tego sierżanta i odstawcie do głównej kwatery... Będę tam za godzinę.

Pułkownik wziął z sobą sześciu żołnierzy i wsiadłszy na konia, pojechał w stronę lasu, gdzie dopiero co sierżant kazał rozstrzelać pruskiego kawalerzystę. Dojechawszy na miejsce, pułkownik odwiązał trupa i w wykopany dół złożył go pod bukiem. A gdy grób już był zasypany, zatknął na nim dwie gałęzie, związane w kształt krzyża.

Pamiętam, że noc 18 listopada była niezwykle długa, zimna i dżdżysta...

* * *

Tegoż wieczoru pułkownik zebrał sąd wojenny. Narady nie trwały długo. Sierżant Millard został skazany na rozstrzelanie. Wyrok brzmiał, że rozstrzelanym będzie pod bukiem...

* * *

Przez cały przeciąg wojny, nasz pułk nigdy się nie spotkał z nieprzyjacielem, lecz pułkownik od pamiętnego owego dnia przestał wyzywać prusaków i nie groził im odprowadzeniem pod forty paryzkie.

* * *

Minęło lat kilka, pułkownik stał załogą gdzieś w innej okolicy Francyi, wspomnienie dramatu, owego dwoistego dramatu pod bukiem, nieco się zatarło i odmieniło w jego pamięci. Wieczorami, w kawiarni, pan pułkownik chętnie opowiada o bohaterskich czynach swego pułku w czasie wojny 1870 roku. Zwłaszcza utarczka, czy nawet bitwa w okolicach Chartres była żwawa i dla prusaków złowroga. Żołnierze pod wodzą pułkownika bili się do upadłego i nakłuli bagnetami co niemiara tej plugawej pruskiej szarańczy.... Niezliczona ich ilość padła koło lasku, przed którym wyskoczył trochę naprzód olbrzymi stary buk.... Tam właśnie pokopano głębokie doły i napełniono je trupami prusaków!... Tak, tak, biliśmy się nie na żarty, a kto nie wierzy, niech idzie obejrzeć mogiłę pod bukiem....

KONIEC.



szłość, ponieważ zaś nadto utraciła wpływ na męża, a byt swój i dziecka zabezpieczyć chciała, rozłączyła się z nim i wyjechała do Paryża. Wyzdrowiawszy z choroby nerwowej, w którą wpadła po śmierci męża, otrzymała zamianowanie na profesora w Sztokholmie.

Walka emancypacyjna kobiet, której Kowalewska zawdzięczała katedrę, znajdowała się tu w pełnym rozkwicie. Pionierki usiłowały zaciągnąć ją w swoje szeregi. Zofia posiadała dar towarzyski i zdobywała sobie serca. Sama jednak z roku na rok czuła się coraz gorzej tam, na północy, i ilekrotnie kończyła wykłady, uciekała co sił do kraju, do Włoch, do Francyi, Anglii — gdziekolwiekbądź, byleby nie zostawać w Szwecyi i wejść na jakiś czas w stosunki szersze. Wogóle pobyt swój w Sztokholmie uważała za etap przejściowy. Tęskniła do Paryża. Lecz lata mijały, a nominacyi innej nie otrzymała. Wykłady zaczynały ją nudzić: umiała rozwijać całą umiejętność swoją tylko wtedy, gdy bodźcem była obecność jakiejś bardzo cenionej przez nią osobistości. Atoli zwolna ta cześć jej dla kilku osobników pobladła.

Na ten czas przypada przyjaźń jej z panią Edgren Leffler. Sława literacka p. Leffler rozbudziła uśpiony w Zofii talent pisarski. Miała za sobą życie pełne różnorodnej treści i wśród względnej jałowości jej bytu sztokholmskiego, perspektywy lat ubiegłych same z siebie niemal zaczęły się jej nasuwać. Początkowo opracowywała wybierane przez p. Leffler tematy dramatyczne i w ten sposób powstał dramat „Walka o szczęście“. Wkrótce jednak spotrzegła swoją przewagę nad uczciwą, prostą szwedką i napisała najpierw „Siostry Rajewskie“ — wspomnienia z własnej młodości, — potem doskonałą nowelę „Wiera Woroncow“, wreszcie zaś pierwszą część niedokończonej powieści p. t. „Vae victis.“

III.

Dotąd życie tej wyjątkowej kobiety płynie w burzliwych, lecz jasnych liniach. Odtąd rozpada się, rozczastkowuje, plącze, stając się dziwnem bezradnem, coraz bezsilniejszem trzepotaniem. Trudno powiedzieć, co było przyczyną tego braku równowagi u niej i powodem przedwczesnego zgonu. Materyał, zebrany przez panią Leffler, jest niedostateczny i liczne zawiera sprzeczności, przytem własne jej wnioski silnie zaciemniają widnokrąg.

Znam cztery portrety Zofii Kowalewskiej — tak do siebie niepodobne, że trudno przypuścić, żeby jedną wystawiały osobę. Nie posiadała pełnej uroku, nieprawidłowej piękności Maryi Baszkircew, która uprawiała artystyczny kult własnego ciała. Potężna, krótko ostrzyżona jej głowa, o wydatnym czole i krótkowidzących oczach, barwy „zielonego agrestu, skąpanego w syropie“, osadzona była na dziecinnym, delikatnym, chudym tułowiu. Czar jej tkwił w nadzwyczajnej żywości, w zupełnem poddawaniu się chwili — o sztuce uwydatniania wdzięku za pomocą ubioru, pojęcia wszakże nie miała. Przekwitła bardzo wcześnie. Pewien sławny poeta zapewniał mnie, że mając lat trzydzieści robiła wrażenie drobnej, starej, zaschłej kobietki. Ta jej powierzchowność stanowiła zupełne przeciwieństwo do smukłej jak jodły i jak jodły wysokiej, jasnej, świeżej rasy szwedzkiej. Odskakiwała tak bardzo od typu szwedzkiego, że nie mogła wzbudzać silniejszych, erotycznych uczuć, do których była skłonną. Spotykała się z chłodem i wrażliwa jej, spragniona podniet natura cierpiała coraz silniej pod świadomością całkowitego różnienia się od typu zwykłej, zwycięzkiej piękności. Na portrecie z 18-go roku życia podobną jest do Ludwika Bawarskiego — z rysów twarzy, wyrazu oczu i bardzo odwiniętych ust. Drugi jej obraz z r. 1887 przedstawia oblicze, nacechowane jakąś trochę wymuszoną uprzejmością, znużeniem, rozczarowaniem: czytasz niemal z tej twarzy usiłowanie przystosowania się do szorstkiego, sztywnego, pełnego wymagań środowiska sztokholmskiego, przyczem dawna, swobodna indywidualna pewność zatarła się zupełnie. Na portrecie robionym w Paryżu po otrzymaniu Prix Bordin, ma wesołą twarzyczkę. A wreszcie ostatnia jej, poniekąd urzędowa, silnie retuszowana podobizna z r. 1880, z takim szlachetnie-chorym, rozczarowanym, znużonym, chłodnym wyrazem twarzy! To są zupełnie różne od siebie kobiety, są to świadectwa o tem, jaką była jej niezmiernie wrażliwa, słowiańska natura do chwili wykorzenienia jej z właściwego gruntu i jaką się stała potem.

Był to geniusz iście słowiański — uparty, odskakujący, płodny, pożądający całej pełni nieobliczonych, rozrzuconych w naturze i ludziach tamtejszych bogactw. Dobrze jej było w atmosferze herbaty, papierosów i duchowego zarówno jak materyalnego zbytku, wśród ludzi takich, jak ona sama. Sztokholmczycy byli inni. W Berlinie żyła jeszcze w środowisku swojem — tu zupełnie ją z niego wyrwano. Ona, która nie umiała być samotną, była tu sama wśród uprzejmych, kanciastych, walczących o prawa swoje obcych kobiet. Żądano tu od niej, żeby była wzorem, spełniła pewną misyę; dyktowano jej obowiązki, przeciwko którym powstawała wtedy tylko, jeżeli wtargano do najtajniejszego, osobistego jej życia. Publiczne stanowisko, które zajmowała, schlebiało jej próżności; była też materyalnie od niego zależną, gdyż prywatny jej majątek nie mógł starczyć na życie i na częste podróże.

Długoletnia choroba nieszczęśliwej jej siostry w małżeństwie, Anny, powodowała bezustanne wyjazdy Zofii ze Sztokholmu do Petersburga i z powrotem. Po śmierci siostry zajmowały ją przez jakiś czas silnie bijące podówczas prądy literackiego i kulturalnego życia Północy. W przestankach pisała też książki i rozwiązywała zagadnienia matematyczne. Ilekroć wracała z wakacyi do Sztokholmu, spędzanych w Rosyi lub na południu, nie pamiętała ani jednego szwedzkiego wyrazu. Z każdym rokiem więcej biadała nad swojem wygnaniem. Szeroka, bujna jej natura nie mogła nawyknąć do panującego w Sztokholmie tonu; z drugiej zaś strony jako dobrze wychowana, wykwintna, pragnąca przystosować się cudzoziemka, w osamotnieniu swem nie śmiała wyłamać się z pod tego tonu. Życie jej stało się po raz pierwszy monotonnem — albo też takiem jej się wydawało. Siła jej żywotna słabła. Tęskniła do ciepła, tkliwości, fantastycznych stosunków — do wszystkiego co było w jej kraju, a czego tu nie miała.

I jeszcze do czegoś tęskniła, co było dla niej najdostępniejszem. Zbudziło się gwałtowne, nerwowe pragnienie miłości. Chciała być kobietą, posiadać dla innych urok kobiety. Póki trwało naprężenie jej sił duchowych, nie uczuwała tego pragnienia. Podczas zaciekłej matematycznej pracy zagłębiała się w sobie, była niedostępną, wolną od wszelkich pożądań; podczas pracy literackiej stała się mięką, uprzedzającą, pełną tęsknoty do miłości. Erotyczne jej życie rozbudziło się w wyobraźni. Żal jej było utraconej młodości, czasu strawionego na studyach, złorzeczyła nieszczęsnemu talentowi, który sprawił, że przestała wywierać czar kobiety. Chciała być kobietą i doznać szczęścia jako kobieta.

Miała jeszcze inne, równie gwałtowne i do spełnienia trudne pragnienie: otrzymania katedry w Paryżu. Poniekąd życzenie to spełniło się, gdy w r. 1888, na uroczystem posiedzeniu Akademii umiejętnści w Paryżu, wobec wielu sławnych uczonych, odebrała osobiście t. zw. Prix Bordin. Było to najwyższe odznaczenie naukowe, jakiego dostąpiła kobieta. Od tej chwili stała się sławą europejską i miała w historyi miejsce zapewnione. Lecz przyjęła fakt ten obojętnie. Była tak wyczerpaną jak po doktoracie. Przygotowywała się do zwycięztwa, pracując miesiącami, dniem i nocą — bez wytchnienia. Obecnie chciano uczcić laureatkę i nastały tygodnie nieustannych zabaw i rozrywek. Kowalewska nie usuwała się od niczego, przyczem jej tęsknota do miłości stanęła u zenitu.

Trochę dawniej już poznała była kuzyna męża swego. Zwała go „grubym M.“, Towarzystwo sympatycznego rodaka — na obczyźnie — usposobiło ją jak najweselej. Stał jej się niezbędnym, chciała go mieć ustawicznie przy sobie, nie mogła żyć bez niego. M. zaś tak dalece nie był jej wzajemnym, ale chętnie byłby się z nią ożenił. Ztąd wywiązał się nieszczęsny, połowiczny stosunek. Zofia nie mogła żyć bez niego. Z Rosyi i Sztokholmu pojechali na kilka dni do Paryża i do Włoch. W drodze rozstali się, ponieważ nie mogli się z sobą pogodzić. Wskutek nagłej zmiany klimatu Kowalewska przeziębiła się. Przyjechawszy do Sztokholmu, niezwłocznie zaczęła wykłady, brała udział w życiu towarzyskiem, narażając się z rozpaczną jakąś obojętnością — a może umyślnie — na pogorszenie swego stanu. Niejasne przeczucia i sny, w które zawsze wierzyła, przepowiedziały jej, że rok ten będzie dla niej złowrogim. Tęskniąc do śmierci i bojąc się jej zarazem, umarła prawie nagle, na początku r. 1891.

IV.

Ci, którzy znają kobiety słowiańskie, a widzą je z dostatecznej odległości, nie po zwalającej zapuszczać się zbytnio w szczegóły, odróżniają w pośród nich dwa typy. Do jednego z nich należą owe ogniste lub sentymentalne, pełne, leniwe, nęcące kobiety o czarnych lub mieniących się szarych oczach, miękkie o miękkich ustach, które chętnie się śmieją i chętnie jedzą, o jakimś nieokreślonym, ujmującym uroku, o ruchach takich, jak gdyby nie podnosiły się z miękkiej pościeli, o szczebiotliwej gadatliwości, mogącej przejść równie prędko w najsłodsze przymilenia, jak i w najbrzydszą wściekłość — słowem kobiety najbardziej kobiece, nieprzewidziane w dobroci serca jak i w kaprysach, bezczynne i zmysłowe, kochające się i wzbudzające miłość w kochliwych mężczyznach. Do tych Kowalewska nie należała. Drugi typ — to najzupełniejsze przeciwieństwo. Tworzą go kobiety uczciwe, te, które najłatwiej określić mianem „bons camarades“, przyzwoite, jasne, odważne, energiczne, silne duchem i ciałem, o myślących głowach, chudych kształtach, bez owych wydatnych linii, będących właściwością połowy kobiet rosyjskich, o twarzach żółtych zazwyczaj, trochę gąbczastych; mają w sobie coś, co nawet najwybitniejszym z pośród nich odbiera czar zmysłowy, a co nazwałabym bezwonnością. Patrząc na nie, człowiek nie czuje, że ma kobiety przed sobą. I one same nigdy lub też bardzo rzadko myślą o tem, że są kobietami. Zwykle żyją dla pracy, dla zawodu, dla idei. W ekstazach umysłu znajdują to wszystko, czego im nie dostaje jako kobietom i ludziom kulturalnym.

Lecz jest to typ nietylko rosyjski — to także typ epoki. W Szwecyi kobiety takie stanęły do walki o prawa kobiet, w Anglii — agitują za czynnem i biernem dla

siebie prawem wyborczem, w Ameryce tworzą kluby, w Niemczech — są wychowawczyniami. Typ to ogólny i tylko stosunki każdego kraju stanowią o manii, w którą wpadnie i którą zwie natenczas „swojem powołaniem.“

Do typu tego zaliczyć musimy Kowalewską. Sama się do niego liczyła. Całem życiem swojem dowiodła i utwierdziła swoją doń przynależność. Sposób, w jaki reagowali na nią mężczyźni, jest jednym dowodem więcej. Znała mnóstwo mężczyzn — najwybitniejszych, najbardziej uzdolnionych w Rosyi, Skandynawii, Anglii, Niemczech, Francyi i Włoszech; wszyscy oni dobrze w jej towarzystwie czas spędzali, lecz żaden nie zakochał się w niej impulsywnie. Z pośród tysiąca ani jeden nie powiedział do niej: „żyć bez ciebie nie mogę!“

Należała do gatunku kobiet, w których widzi się tylko mózg. Uważano ją za przynależną do tego gatunku. Była jego tarczą, sztandarem zwycięzkim, najwyższym jego tryumfem. Orzeczono, że nie potrzeba jej niższych rozkoszy — w wiedzy miała rozkosz najwyższą; miała katedrę i uczyła mężczyzn. Nie przeczyła tym poglądom, sama przecież wyznawała je, dążyła do stwierdzenia ich, żyjąc pod nędznym płaszczem pozornego małżeństwa, podczas długich, mozolnych lat naukowej pracy.

Uważano, że jest geniuszem-kobietą o mózgu męskim, że urodziła się po to, by dźwignią być i wzorem dla mózgów sióstr swoich.

Ha, — była taką i taką nie była! Czuła i nie czuła się taką! Ostatniemi latami zadała kłam całemu poprzedniemu swemu istnieniu, i usunęła się od niej obrażona gromada siostr. Gdyby nie te ostatnie lata, oddawna wyciągniętoby ręce po składki na pomnik dla niej. Lecz dziś — to już nie uchodzi. Dziś tylko milczeć wypada.

Bowiem była kobietą, była nią mimo wszystko, — mimo dziesięcioletniego fikcyjnego małżeństwa, mimo równie długiego stanu wdowieństwa, mimo stopnia doktorskiego, katedry i odznaczenia, jakiem jest *prix Bordin*. I w taki niemiły, obrażający, nieprzyzwoity sposób była kobietą...

Ona, która nigdy nie nęciła, więcej była kobietą od tych kusicielek, które z miłości czynią sobie zawód. Ujawniło się nowe w niej zróżniczkowanie kobiety, którego nikt nie rozumiał, ponieważ było nowe, i którego sama nie rozumiejąc, popełniała wskutek tego błędy. Winić za nie należy nie ją, lecz prąd czasu, który ją porwał i w wirze okręcił. Gdy ją zaś prąd ten opuścił, było za późno na tworzenie osobistego losu.

I kto wie, czy byłoby lepiej, gdyby prąd czasu nie był jej uniósł, lub gdyby wcześniej była ocalała. Kobieta nie ma własnej doli. Nie może jej mieć, gdyż nie może być samą. A i losem mężczyzny staje się nie bezpośrednio, nie dzięki temu, czem jest sama, lecz dzięki temu, co powoduje. Im więcej jest kobietą, im bogatsze posiada przymioty, tem wyraźniej mężczyzna, biorący ją sobie na własność, losem się jej stanie. A jeśli rozwój średnio uzdolnionej kobiety zależy od tego, jaki mężczyzna będzie wobec niej dawcą, to o ile silniej zawisła od okoliczności tej pomyślność kobiety genialnej, w której ciepło ucisku męskiego rozbudzić i wyzwolić ma geniusz zarazem i kobietę. I jeśli przeciętna kobieta zrozumieć może własną istotę tylko przy pomocy miłości męskiej, — to ile więcej potrzebuje jej kobieta genialna, o zdolnościach twórczych, które drzemią zarówno jak indywidualność jej — w jej płci kobiecej. Jeśli pod tym względem kobieta pozostaje niezbudzona, głodna, to choćby istnienie jej rozpoczęło się pod znakiem najbardziej „obiecującym“, będzie w dalszym ciągu zanikiem i tem straszniejszą walką śmiertelną, im silniejszą była w niej energia życiowa.

Takiem było istnienie Zofii. Żaden mężczyzna nie przytulił jej do serca, nie uderzył o struny jej duszy tak, aby zadźwięczały. Była matką i żoną, lecz nie była żadnego mężczyzny życiem.

V.

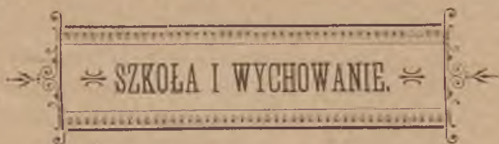
Gdy piszę te słowa, dolatuje mnie co czas jakiś słodki, ciężki, mdły, a zarazem przenikliwy zapach. Spływa on ku mnie z tuberozy, stojącej opodal, na oknie. Dźwiga ona gruby pęk rdzawego trochę kwiecia na niezmiernie długiej, cienkiej łodyżce, okolonej kilku wiotkimi, chorymi liśćmi. Chora jest, gdyż przez długi czas stała wśród albumów i fotografii, na stole pod świecznikiem, w nawpół mrocznej atmosferze pokoju. Choroba tkwiła widać w korzeniach — nie było rady. Trzeba było przyznać, że jest rzadkim kwiatem, a niepodobna było nie dostrzedz, że z dnia na dzień staje się brzydszą.

Postawiono ją na oknie, gdyż tu właśnie znalazło się trochę miejsca, na stole zaś umieszczono pospolitą doniczkę rezedy. Trzymała się doskonale między albumami, fotografiami i kartkami wizytowemi i stanowiła bardzo ładną ozdobę. Na tuberozę nikt nie spoglądał, póki sama nie przypomniała się pamięci falą silnej swej woni. Natenczas spojrzało się na nią od niechcenia: na pierwszy rzut oka wydawała się tylko potarganą, schorzałą roślinką; przy uważniejszem atoli spojrzeniu dostrzedz było można, że łodyżka zakończona jest trzema zupełnie rozwiniętymi, lśniącymi, jak biały aksamit, kwiatkami. Łodyżka przechyliła się, tuląc kwiecie do szyby, przez którą aż do swego zachodu zaglądało słonko jesienne. Przywracała umierające kwiecie życiu i pod ciepłą pieszczotą słońca sama do sił wracała.

Zjawisko to przypomina mi Kowalewską.

(Dokończenie nastąpi.)





SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Prywatne instytucye
dla oświaty ludowej w Ameryce

przez

Dr. fil. Józefę Kodisową.

(Ciąg dalszy).

V.

(Uniwersytety ludowe („University extension“).

Wskutek systemu naszego szkolnictwa przywykliśmy od wieków uważać naukę w uniwersytetach za dostępną jedynie ludziom uprzywilejowanym, tak pod względem szkólnego przygotowania jak i funduszu. Tymczasem uniwersytecka nauka jest właśnie tą wiedzą, jakiej potrzebujemy wszyscy, jeżeli umysł nasz dąży do światła. Każdemu szukającemu wiedzy chodzi przedewszystkiem o poznanie swego własnego stanowiska wśród społeczeństwa i przyrody i o istotę otaczającego go świata. Jeżeli zwrócimy uwagę na historyczny rozwój nauk, to spostrzeżemy, że istotnie każda pojedyńcza nauka powstaje z potrzeby dania odpowiedzi na któryś z powyżej wymienionych problematów. Tą właśnie drogą szedł rozwój duchowy całej ludzkości. Jednakże, ażeby przygotować ludzi do samodzielnej i twórczej pracy naukowej, okazała się potrzeba odpowiedniego wytresowania ich umysłów i wyuczenia ich pewnych metod naukowych, które to zadanie wypełnia obecnie z mniejszym lub większym powodzeniem szkoła średnia. Wobec tego faktu jednak zapomniano o tej całej, bez porównania liczniejszej masie ludzi, która nigdy nie będzie się mogła poświęcić nauce i sama pracować nad jej dalszym rozwojem. A jednakże ludzie ci pragną także wyjaśnić sobie stosunki wszechświata i własną w nim rolę. Oczywiście, że od tego zrozumienia rzeczy zależy też rozwój społeczeństwa jako całości. Na tem opiera się całokształt społeczeństwa, jego dążności i cele. Tymczasem wobec panującej u nas arystokracyi nauki właśnie treść jej nie dochodzi wcale do ludu, nie rozszerza się w narodzie.

Wiele osób mniema, że bez odpowiedniego przygotowania nie może lud zrozumieć tematów uniwersyteckich. Praktyka przekonała, że tak nie jest. Kiedy w Anglii, około roku 1871, zaczęto robić przygotowania i prowadzić agitacyę w celu rozszerzenia wykładów uniwersyteckich na lud, koła stanowiące opinią publiczną powitały to śmiechem i drwinami. Obecnie ruch stał się tak poważnym i takiem się cieszy powodzeniem, że niema już nikogo, ktoby wątpił o jego możebności i pożytecznych rezultatach. Istotnie absurdem, popartym tylko długą tradycyą, jest mniemanie, jakoby łatwiejszym był do zrozumienia wykład arytmetyki niż naprzykład popularny wykład geologii, — a że ten ostatni więcej rozentuzyazmuje i zaciekawi słuchaczy, niema najmniejszej wątpliwości. Podobnie rzecz ma się z gramatyką, i np. chociażby polityczną ekonomią. Każdy, kto spróbował uczyć dorosłego człowieka, przekona się, jak bez porównania większą trudność przedstawi temu ostatniemu zrobienie rozbioru gramatycznego niż zrozumienie fizyologicznych procesow, np. obiegu krwi. Tymczasem uczymy masę ludzi gramatyki, a zaledwie garstkę zasad fizyologii, pomimo tego, że poznanie tej ostatniej bodaj czy nie większą ma wartość społeczną.

Taką właśnie naukę ma za zadanie podawać ludowi t. zw. w Anglii i Ameryce „University Extension“, co dosłownie oznacza rozszerzenie uniwersytetu. Instytucya ta, jak to już wymieniliśmy wyżej, powstała w Angli około roku 1872 przy uniwersytecie Cambridge. Ruch ten rozpoczął się od tego, że jeden z profesorów tego uniwersytetu James Stuart zmuszony był dawać lekcye astronomii kilku kółkom kobiecym w Manchester, Liverpool i w paru innych miastach. Profesor musiał podróżować po tych wszystkich miastach i każdego dnia mieć w innem wykłady. Zauważywszy, że słuchaczki nie są w stanie robić umiejętnych notatek, Stuart rozpoczął rozdawać przed lekcyą drukowane streszczenia mającego się odbyć wykładu, nazwane później syllabusami. Dalej, ponieważ ustne przesłuchiwania przedstawiały różne trudności, zaczął on rozdawać pytania drukowane, na które słuchaczki musiały odpowiedzieć piśmiennie. Odpowiedzi następnie poprawione były im zwracane po dniach kilku. Ponieważ ten system wykładów okazał się praktycznym, postanowiono zastosować go do szerszej publiczności. Powodowano się przytem tą ideą, że demokratyzacya nauki jest konieczną potrzebą naszej epoki i że uniwersytety angielskie na początku swego istnienia miały też daleko demokratyczniejsze tendencye, niż obecnie. Powodzenie, jakie zyskały wykłady uniwersytetu w Cambridge, zachęciły i inne angiel-

skie uniwersytety do naśladowania. Powoli ruch rozszerzał się coraz bardziej. Utworzyły się kluby i towarzystwa w całej Anglii w celu propagowania nauki tego rodzaju. Nawet biblioteki publiczne w wielu miejscach potwierały kursa wykładów według danego systemu. Obecnie „University extension" stały się instytucyą ogólnie uznaną i niezbędną w angielskiem społeczeństwie. Studenci rekrutują się z najrozmaitszych klas społecznych, mężczyzn i kobiet, młodych i starych. Obecnie już Anglia zawdzięcza tej instytucyi wiele wybitnych i wpływowych ludzi, którzy tylko z jej pomocą wydobyli się z ciemnych warstw społecznych. Wobec takiego znaczenia instytucyi dla całego narodu, — niektórzy nazywają ją ,people' university" — uniwersytetem ludowym albo wszechnicą ludową.

W r. 1890 uniwersytety ludowe przeniesione zostały do Ameryki i obecnie niemal wszystkie większe amerykańskie uniwersytety mają specyalne działy dla wykładów ludowych. Przy wielu z bibliotek publicznych są też podobne wykłady. W każdem, chociażby odległem od wielkich centr miejscu, może być urządzona t. zw. organizacya lokalna, która zajmuje się skupieniem uczni i dostarczaniem dla nich profesorów. Droga agitacyi w tym celu jest zwykle taką: Osoba zainteresowana tą sprawą stara się przedewszystkiem zjednać dla niej kilka osób wpływowych w danej okolicy, jako to zwierzchników szkół, kierowników klubów, księży etc. W porozumieniu z nimi urządza się wiec (meeting), na którym jeden z przyszłych profesorów daje próbną lekcyę, tłomaczy zadania wykładów i podaje różne wskazówki co do planu przyszłej pracy. Jeżeli publiczność okazuje się dość zainteresowaną, przystępuje się natychmiast do uformowania organizacyi przez wybór prezydenta, wiceprezydenta, sekretarza, skarbnika etc. i lokalnego komitetu. W ten sposób centrum lokalne zostaje założone. Lokalny komitet najlepiej odpowiada swojemu zadaniu, jeżeli jest złożony z 10 do 20 członków, wpośród których znajdują się zwykle reprezentanci każdego elementu danej okolicy, jako to przedstawiciele różnych klubów, prasy, bibliotek, robotników, nauczycieli, przemysłowców etc. Komitetowi starają się wśród danej okolicy rozszerzyć pojęcie znaczenia wykładów i wogóle propagować tę ideę. Z drugiej strony dopomagają profesorowi, ażeby uczynić jego wykłady korzystnemi i prowadzą cały miejscowy zarząd instytucyi. Komitetowi zajmują się też anonsowaniem wykładów przez miejscową prasę, kościoły i drukowane cyrkularze.

Dla oszczędzenia czasu i kosztów przejazdu profesorów wykłada często jeden i ten sam profesor w kilku lokalnych centrach, niedaleko od siebie położonych. Takie centra łączą się zwykle razem w jedną całość i nazywają się „okręgiem" (Circuit). Uniwersytet, którego profesorowie wykładają po centrach lokalnych, przedstawia rodzaj ogólnej centralizacyi tychże. On to w porozumieniu z komitetami centrów lokalnych układa plany lekcyi i naznacza odpowiednich profesorów.

Wykład jednego przedmiotu odbywa się w każdym centrze zwykle raz tygodniowo i trwa 2 godziny. Przekonano się, że najlepsze rezultaty osięgają sześciotygodniowe kursa wykładów.

Zadaniem wykładów jest nietylko podać pewną ilość wiedzy słuchaczom, ale przedewszystkiem zachęcić ich do nauki i podnieść w ich umysłach teoretyczne problematy. To też profesor powinien ciągle mieć na oku przedstawienie słuchaczom rzeczywistej wartości i znaczenia nauki. Naturalnie dzieje się to nie za pośrednictwem profesorów, lecz przez umiejętne przedstawienie istoty danej nauki i przez uwydatnienie tej właśnie jej strony. Nie jest to tak łatwą rzeczą, jak się na pierwszy rzut oka może wydawać. Tak np. przekonano się, że profesor nie może się stanowczo trzymać logicznego szematu w swoich wykładach. Słuchacze bowiem, składający się z ludzi praktycznego życia, nie mogą w ten sposób być utrzymani w stanie skupionej uwagi. Profesor musi posiadać dar żywego wykładu i być niezłym mówcą ludowym, obok doskonałego władania przedmiotem. W Ameryce i Anglii istnieje już obecnie duża ilość specyalistów w tym fachu. Profesor, posiadający dobre kwalifikacye tego rodzaju jest bardzo cenionym i poszukiwanym. Bywają wypadki, że Amerykanie zapisują sobie takich profesorów z Anglii, pomimo wielkiej liczby własnych nauczycieli. Wykłady zwykle są prowadzone przez ludzi, którzy jeżeli nie są profesorami uniwersytetu, to przynajmniej ukończyli studya uniwersyteckie i uczyli się specyalnie metodyki takich wykładów w sposób praktyczny. W Filadelfii istnieje nawet specyalna szkoła dla kształcenia profesorów uniwersyteckich ludowych.

Jedną z takich zasad uniwersytetów ludowych, do których ludzie doszli drogą praktyczną, jest, ażeby w owych seryach lekcyi, o których mówiliśmy powyżej, niepodawać słuchaczom ogólnej treści całej nauki. Należy się ograniczyć raczej do jednej jej części i tę za to opracować o ile możności wyczerpująco. Tak np. nie wykładać całej fizyki, ale przypuśćmy, naukę o świetle, — nie całą literaturę lecz np. podać rozbiór sześciu dramatów Szekspira itd. Zyskuje się przez to, po pierwsze, usunięcie powierzchowności z wykładów, powtóre, utrzymuje się w natężeniu interes umysłowy, który pobudza słuchaczy do dalszej nauki. Wykład uniwersytetu lud. odróżnia się od innych wykładów następnemi punktami: słuchaczom zwykle na dłuższy czas przed wykładem (czasem o pół roku) rozsyłają się krótkie streszczenia lekcyi, w których zaznaczone są główne punkta, mającego nastąpić wykładu. Daje to możność słuchaczom, wedle chęci przygotować się do lekcyi lub przynajmniej oswoić się z temi ideami, które w niej będą poruszone. Dalej w tymże celu służą małe w ę d r o w n e b i b l i o t e c z k i, które przesyłają się przed wykładami do danej okolicy i bywają rozdawane słuchaczom przed lub po wykładzie dla lepszego zapoznania się z przedmiotem. Sama lekcya składa się zwykle z dwóch godzin. Pierwsza godzina poświęconą jest wykładowi, druga zaś d y s k u s y i i pogadance o danym przedmiocie. Po lekcyi rozdaje się szereg d r u k o w a n y c h p y t a ń z zakresu danego przedmiotu, na które wedle życzenia słuchacze mogą piśmiennie odpowiadać, a profesor obowiązany jest poprawiać wypracowania i zwracać je autorom. Naturalnie nie cała publiczność, słuchająca danego wykładu, ma ochotę zajmować się pracą poważną: ztąd też studenci rozpadają się faktycznie na trzy kategorye: prostych słuchaczy, takich, którzy biorą udział w dyskusyi i takich, którzy podejmują się piśmiennych wypracowań.

(Dokończenie nastąpi).



Projekt kolei na „Jungfrau".

Szwajcarya przystępuje do nowego śmiałością zdumiewającego przedsiębiorstwa.

Projekt kolei na szczyt Jungfrau już wykonany, koncesya zatwierdzona, pomiary w biegu, a zapewne już pierwszego października wstrząsną górami pierwsze wybuchy ładunków dynamitowych, a świdry i kilofy zagłębią się we wnętrzu skalistych olbrzymów, formując tunele i przekopy.

Przedsiębiorstwo podzielone jest na cztery sekcye, z których każda zawiera pewną całość i jest przedmiotem specyalnej koncesyi. Tak, że w razie nieprzewidzianych trudności, chociaż kolej nie dobiegnie do szczytu, częściowo wykonaną będzie.

Kolej na Jungfrau wychodzi ze stacyi „Scheidegg" drogi żelaznej na Wengernalp, leżącej 2064 metrów nad poziomem morza, pierwsza jej część wije się wśród niezbyt wysokich pagórków, podnosząc się powoli ku 2350 metrów wysoko leżącej stacyi „Eigedgletscher". Nachylenie toru wynosi tutaj zaledwie 12,4% tj. podnosi się 12,4 metrów na każde 100 mtr. odległości. Część ta nie przedstawia najmniejszej trudności pod względem technicznym, linia jest już wytyczona, a roboty ziemne od 1-go sierpnia rozpoczęte. Powyżej wymienionej stacyi na wysokości 2424 metrów zagłębia się kolej w tunel, z którego z wyjątkiem dość licznych stacyi nie wychodzi do końca. Jest to część właściwej kolei górskiej, linia wytyczna obiega do koła grupę skalistą „Eiger" podnosząc się 25 metrów na 100 odległości do stacyi Gindelwaldblick (2660 mtr.) a w dalszym przebiegu do „Kalifiru" 3270 metrów nad poziomem morza.

Dalej biegnąc w prostej linii przy nachyleniu 15,5% dosięga do pierwszego punktu kulminacyjnego „Monchjoch" (3550 mtr.) Ostatnia część kolei zniża się początkowo 10% na odległości 1700 metrów do stacyi Aletsch-Guggi (3393 m. n. p. m.) zkąd w przeróżnych łukach podnosząc się 25 metrów na 100 dobiega do ostatniej stacyi „Elevator" (4093 m. n. p. m.), leżącej pionowo pod szczytem „Jungfrau", na który wjeżdżać się będzie za pomocą 73 metrów wysokiej windy. Tak przedstawia się w grubszych zarysach główna linia kolei, która w czasie budowy uledz jeszcze może drobnym zmianom. Długość toru kolejowego wynosi 12,260 kilometra, wysokość, na którą się w całym swoim przebiegu podnosi 2102 metrów, przecięciowe nachylenie otrzymujemy 17,5%. Szybkość kolei obliczono na 8½ km. na godzinę, tak, że cała podróż z Scheidegg na szczyt trwać będzie łącznie z przystankami około dwóch godzin.

Jako siłę motoryczną wybrano elektryczność, której dostarczą dwa górskie strumyki, czarna i biała Lütschina. Wyzyskanie tychże w tym celu jest zastrzeżone w koncesyi, będą one nie tylko użyte jako źródło siły motorycznej do ruchu, oświetlenia kolei, tunelu i stacyi, opału wagonów, lecz nadto już w czasie robót posłużą do obrotu machin pomocniczych. W tym celu założone będą pod Lauterbrunnen turbiny dostarczające siły faktycznej 1500 koni.

Swiat techniczny patrzy z zajęciem na to niebywałe dzieło sztuki inżynierskiej, zdając sobie dokładną sprawę z trudności, jakie wykonanie jego przedstawia. Nie są one jedynie technicznej natury, lecz leżą głównie w niedogodnościach atmosfery i kli-

matu. Wiadomem jest, że od wysokości 3000 metrów n. p. m. klimat staje się dla człowieka uciążliwym, pojawia się choroba górska z symptomów do morskiej dość podobna, jeżeli dodamy do tego zawieje śnieżne, mróz, wichry i burze, uprzytomnimy sobie łatwo, że wydajność pracy człowieka w tych warunkach będzie bez porównania mniejszą jak w zwykłych okolicznościach. Pomimo tego przedsiębiorcy liczą na niezły zysk. Koszta wykonania całej kolei obliczyli na 10 milionów franków, które, jeżeli rachuby nie omylą, odrzucać mają na czysto 6,8% dywidendy. Na rachunek ten jednak spogląda główny organ techników szwajcarskich „Schweizerische Bauzeitung“ z niedowierzaniem i wykazuje, że przedsiębiorcom przedstawia się spekulacya ze szczytu Jungfrau w za różowem świetle. — Cena biletu na szczyt i z powrotem wynosić ma 40 franków, o ile nam się zdaje dość nizka, wobec trudności przedsiębiorstwa i uroku, jaki dla każdego leżeć musi w tak pociągającej podróży. Tak więc w blizkiej przyszłości dozwolonem będzie szerszej publiczności stąpać po śnieżnem czole „dziewicy Alp“ i spoglądania ze szczytu 4166 metrów wysokiego na przecudną krainę szwajcarską, co do dziś dnia tylko wytrawnym i śmiałym turystom przypadało w udziale. Lecz nie trzeba się łudzić, aby w razie wykonania całkowitej kolei każdy bez wyjątku mógł podejmować tę pociągającą podróż. — Dla słabych i chorych będzie to wycieczka nie bardzo dostępna.

W każdym razie śmiałe to dzieło przynosi honor dzielnej i pod wielu względami przodującej technice szwajcarskiej. Jest to pierwsza linia kolei w Europie wkraczająca w wieczną dziedzinę śniegów i lodowców. Już sama jej budowa będzie bogatem żniwem dla nauk technicznych i wydajnem źródłem dla spostrzeżeń geologicznych, meteorologicznych i przyrodniczych.

Tuz.

KRONIKA LITERACKA

Lemianowicz Teodor. „Jedynaczka“ szkice z natury, Warszawa, Paprocki, 1896.

Jedynaczka? — A więc znowu zbytnie pieszczoty, kaprysy, mąż rozkochany, ale nie dość uległy, ucieczka do matki, łzy, rozpacze i nareszcie mąż pod pantoflem? I tak — i nie. Z tematu spowszedniałego nie mógł autor usunąć sytuacyi typowych, a nie umiał go ożywić nowemi szczegółami i oświetlić nowym promieniem obserwacyi, aby rzecz stała się nową naprawdę. Bo Jadwisia Łuniewska, ta lilijka wychuchana przez matkę, rozkochana po pierwszem spotkaniu się na balu w doktorze Rymkiewiczu, a potem jako żona jego, opuszczająca go bez poważnych przyczyn, z nienawiścią w sercu i chaosem w głowie — nie ma w sobie nic z goła nowego, prócz niekonsekwencyi i urojeń. Dr. Rymkiewicz przed ożenieniem się, a potem, to dwie różne postacie, z których późniejsza, niewiadomo dlaczego, powstała z wcześniejszej; matka Jadwisi, p. Łuniewska, bezbarwna i bezsilna ponad możliwość, a jej siostra p. Kaszurowa udaje energię, której nie posiada. To też nic dziwnego, że obie po opuszczeniu męża przez Jadwisię są bezradne, że nie mają innego argumentu dla rozgorączkowanej myślą rozwodu, nad słowa: „A niechże cię Bóg broni od tego!“ Jadwisia, parta koniecznością, wraca do męża, do którego czuje odrazę, szuka koniecznie śmierci i znajduje ją, a p. Rymkiewicz, jako młody wdowiec i dobra partya, pewnie się wnet pocieszy, chociaż w pierwszej chwili wyrzeka się tego „po takiej nieszczęśliwej pod każdym względem próbie“.

Ponieważ nieznajomość świata i mężczyzn sprowadza na Jadwinię nieszczęście, ponieważ nie może zrozumieć, dlaczego mąż jej stroił figle ze służącą Michaliną, a „śmiał się“, gdy jeden ze znajomych uganiał się za arfiarką, ponieważ wyrywa się jej okrzyk z piersi: „Dlaczego przedemną wszystko taili!“ — zdawaćby się mogło, że autor (czy może autorka?) chciał poruszyć kwestyę wychowania panien, a to wychowania w tym duchu, aby idąca za mąż znała nietylko swoje obowiązki, ale była wtajemniczoną w różne słabości mężów i była przygotowaną na — niewierność, bo „wszyscy mężczyźni są tacy“ (!?). Kwestya nieciekawa, a dawno rozstrzygnięta. Jeżli autor malował z „natury“, jak w tytule twierdzi, to życzyć mu należy z całego serca, aby w studyach swych dalszych więcej miał zwrócone oko na światła, niż na cienie, a w czerpaniu z bogatej krynicy przyrody miał otwarte oczy na lepsze i piękniejsze strony życia.

* Jego bóstwo. Najnowsza książka, osnuta na tle stosunków wiedeńskich i napisana przez znaną autorkę wiedeńską, kryjącą się pod pseudonimem Emila Marriota, nosi tytuł: „Jego bóstwo“ (Seine Gottheit) i zajęła mocno tutejszą publiczność czytającą, oraz krytykę. Tak pod względem treści jak i formy rzecz jest oryginalną. Osnowa dotyczy pewnej strony wiedeńskiego społeczeństwa, niewyzyskanej dotychczas w literaturze powieściowej — a mianowicie stosunków na tutejszym fakultecie medycznym. Forma opowiadania jest pamiętnikowa. Bohater jej, asystent w klinice chirurgicznej profesora Stradnitza, (nb. nazwiska zmyślone) młody dr. medycyny Eugeniusz Holtz opowiada ciężkie koleje swego dotychczasowego życia, zakończonego morderstwem córki profesora, wzbraniającej się oddać mu swą rękę. Wtrącony do więzienia, pisze pamiętniki, niemające z dotychczasową modłą tego rodzaju powieści o tyle nic wspólnego, że pisane są w duchu najbardziej współczesnym, przesiąkłym pozytywizmem i materyalistycznemi badaniami psychologii. Uroku dodaje dziełu głęboka, prawdziwa tragika, spotykana tak rzadko w płodach literatury bieżącej. Ma ona niewątpliwie swe słabe strony, jednak ogólne wrażenie, sprawione przez dzieło, jest pod każdym względem dodatnie. Szczególnie niektóre typy, jak „praczki wiedeńskiej,“ profesora-wielkości medycznej i jego córek, są uchwycone i oddane z rzadką plastyką. *K. Bicz.*

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka**. Czytamy w Kuryerze Warsz.: „Towarzystwo dramatyczne, zostające pod kierunkiem komedyopisarza p. Michała Wołowskiego, gościć będzie u nas do 1go października. Ujrzeć mamy jeszcze dwie sztuki oryginalne: „Brzytwę“ M. Wołowskiego i „Sobotni wieczór“ Sterlinga; z tłomaczonych: „Matki Hyrszfelda i „Miłostki“ Sznyclera, oraz melodramat „Kocie oko“ Montepina. P. Wołowski przygotował już cały zimowy repertuar na Łódź. Z klasycznych rzeczy znajdują się na repertuarze łódzkim: Szekspira „Noc Trzech Króli“ (na otwarcie sezonu), „Ryszard III.“ i „Henryk IV.,“ Schillera „Śmierć Wallensteina,“ Eszegereja „Geniusz i obłąkanie,“ Sardou „Gismonda,“ Ibsena „Dzika kaczka,“ Hauptmana „Przyjaciel Krampton,“ Freitaga „Dziennikarze,“ Hirszfelda „Matki,“ Schillera „Miłostki.“ Z rzeczy lekkich: „Tilli“ Stala, Miliony“ Grom Hattona, „Wielki kometa,“ Laufsa „Wieża Ernestyny,“ Valabregue'a „System pana Ribodin,“ „U przystani“ Dumanoir i Lafargues. Z oryginalnych: „Stasio,“ dramat Karola Szajnochy, „Jadzia wdową,“ „Brzytwa“ i rzeczy, które się w sezonie ukażą. Trupę łódzka składać będą panie: Pankiewiczówna, Wróblewska (pierwsze dramatyczne). Zimajer-Rapacka, Przybyłko, Welli (naiwna), Trapszowa, Bartoszewska, Wolska (charakterystyczne), Staszkowska, Zawadzka (kokietki i rezonerki); nadto panie: Szobertowa, Maliszewska, Prus, Wisłocka, Knapczyńska i Ceremurzyńska. Panowie: Trapszo, Winkler (komicy), Sosnowski, Kopczewski, (amanci seryo), Mielnicki, Knapczyński (amanci komiczni), Staszkowski, Szobert i Różański (dramatyczni), Ceremurzyński, Rartoszewski, Prochaska, Rapacki, Dzwonkowski, Kisielewski, Wisłocki i sufler Zdanowski. W tym składzie towarzystwo ma zamiar zrobić dwie artystyczne wycieczki do Petersburga i do Berlina i w obu miastach dać po dwanaście przedstawień, złożonych przeważnie ze sztuk oryginalnych.“ Skoro się zważy, że to teatr prowincyonalny, niesubwencyonowany — to przyznać należy, że p. Wołowski wcale przyzwoicie wywiązuje się ze swego zadania. — Pani Marya Bissen-Janowska z dniem 20 b. m. rozpocznie szereg występów na scenie Rozmaitości. — Do Warszawy zamierza zjechać w ciągu listopada słynna tragiczka włoska Eleonora Duse wraz ze swoją trupą. Układy z dyrekcyą teatru są w toku. — Dobrze informowane dzienniki francuskie donoszą, że znakomity śpiewak Jan Reszke wkrótce połączy się dozgonnemi śluby z hr. Mailly-Nesle, przedstawicielką jednej z najznakomitszych rodzin francuskich. „Les Annales politiques et litteraires“ w obszernym artykule charakteryzuje naszego artystę i jego przyszłą małżonkę: „Hr. de Mailly-Nesle — pisze wspomniany organ — jest zachwycającem zjawiskiem, typem pełnej wdzięku, dystynkcyi i dowcipu arystokratki francuskiej.“ Zaślubiny, według zapewnień autora artykułu, odbędą się w ciągu października w majątku Jana Reszkego, poczem znakomity śpiewak uda się do Londynu, a ztamtąd do Ameryki, łączą go bowiem zobowiązania z impresariem Grauem. Będzie to ostatni rok jego karyery artystycznej, Reszke bowiem zamierza usunąć się ze sceny zupełnie. Wiadomość ostatnią powtarzamy za powyżej wspomnianym tygodnikiem, nie ręcząc za jej autentyczność.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pani J. Ma Pani słuszność. Prawa Likurga wyłączały od wszystkich urzędów ludzi bezżennych i byli smagani corocznie przez kobiety przy posągu Junony.

Panu M. K. Tundrą nazywają pas trzęsawisk podbiegunowych, 200 kilometrów szeroki, a przeszło 2000 kilometrów długi, okalający brzegi północnego morza lodowatego.

HUMORYSTYKA.

Curiosum. Starosta krakowski p. Laskowski, który jest nawet delegatem namiestnika, nadesłał p. Franciszkowi Wojcikowi, gospodarzowi, który jest posłem na sejm krajowy, ukaz, w którym zakazuje mu zdawać sprawozdania poselskiego przed wyborcami.

W ukazie swym mówi pan starosta: Pan Franciszek Wojcik, poseł na sejm krajowy, wprowadza władzę w błąd, donosząc jej, że na zwołanych przez się zebraniach będzie zdawał sprawozdanie poselskie. Tymczasem nie tylko prawi, co się w sejmie działo, ale mówi obszernie o urządzeniach w kraju i wywołuje przez to waśń społeczną, poruszając warstwy przeciw sobie. „Zresztą stoi dalej dosłownie w ukazie, już pan zdawałeś sprawozdania poselskie w Liszkach, Czerniedziwie, Kościelnikach, Rybnie, Wolicy, Morawicy, w Bronowicach Małych, Raciborowicach i Boledzowicach; to starczy najzupełniej do uczynienia zadość obowiązkom posła wobec wyborców. A tu jeszcze pan zapowiadasz zgromadzenia wyborcze w Kaniowie, Pleszowie i Modlnicy, które zagrażają dobru powszechnemu, przeto zakazuję tychże zgromadzeń na podstawie ustawy z 15-go listopada 1867 r. Prawo rekursu do namiestnictwa służy panu w ciągu dni 8

W Krakowie dnia 3 września 1896.

C kr. radzca dworu Laskowski.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28